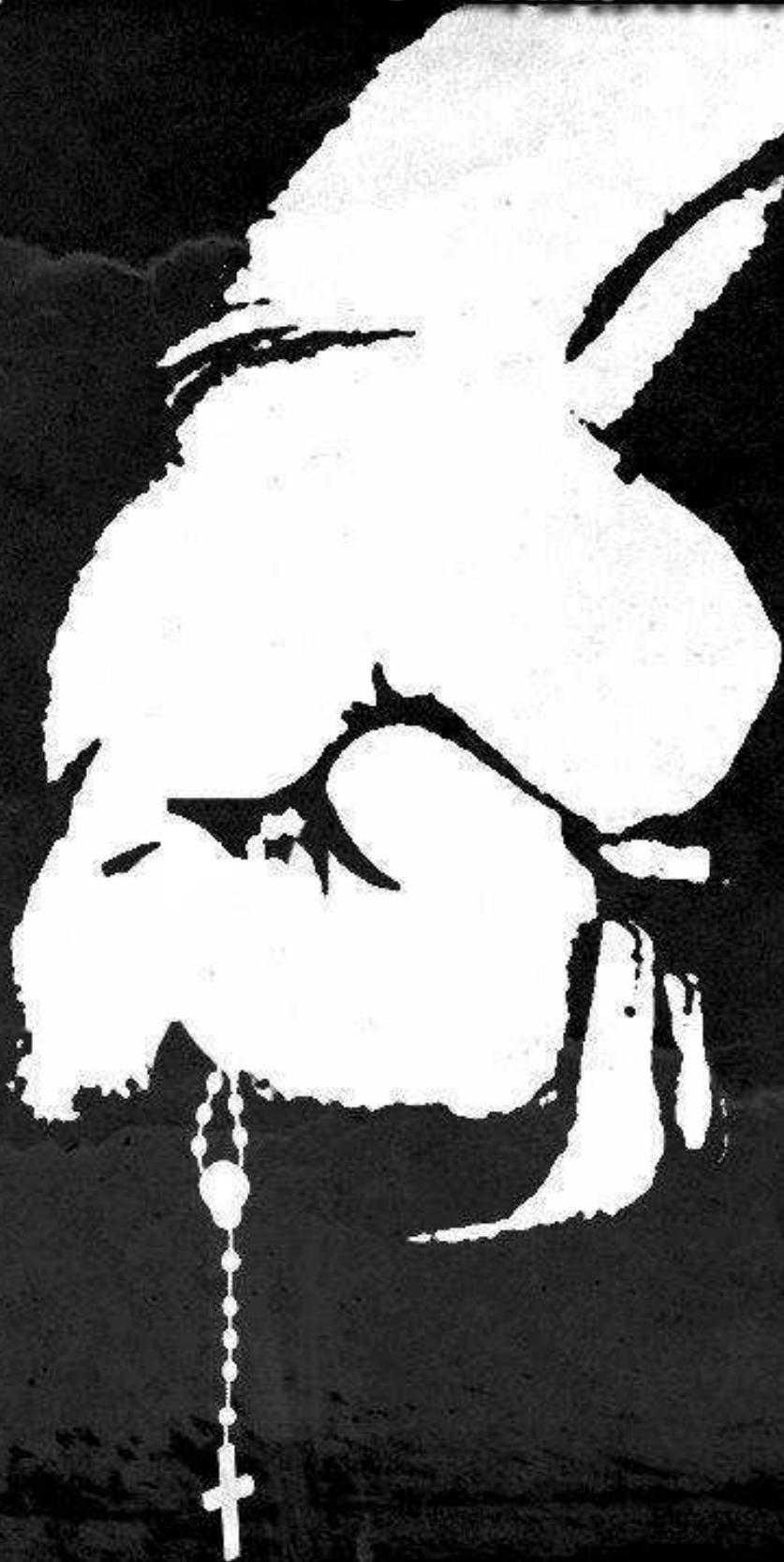


SZTURM

miesięcznik narodowo - radykalny nr 23/2016 (08) ISSN 2450-5439



Szturm miesięcznik narodowo-radykalny nr 22 2016

Krzysztof Kubacki - „Międzymorze szansą i nadzieją dla wschodu” (3-4)

Jakub Siemiątkowski - „Ukrainiec JEST moim bratem” (5-8)

Michał Szymański - „This is no future, it's Europe at war” – zapiski z oblężonej twierdzy” (9-14)

Marta Niemczyk - „Nie dla islamizacji Europy 2.0” (15-16)

Tomasz Dryjański - „O ducha krucjaty!” (17-18)

Igor Pokora - „Żadnej asymilacji!” (19-22)

Witold Dobrowolski - „Pokolenie straconej szansy” (23-24)

Adam Busse - „Lewica - jej walka o wpływy, kulturę i historię w Polsce” (25-30)

Maria Pilarczyk - „Sorelowski indywidualizm drogą do doskonałości” (31-33)

Karol Oknab - „Uniwersytet zdecentralizowany” (34-38)

Marek Kubiński - „Regres w katolickiej duchowości” (39-40)

Michał Szymański - „"Bronię patriotyzmu" czyli liberalnym dziennikarzom w odpowiedzi” (41-43)

Michał Walkowski - „Marksizm kulturowy i jego owoce” (44-45)

Tomasz Kosiński - „Lajos Marton - Całe życie w walce” (46)

Lajos Marton - „Odezwa do młodzieży polskiej” (47-48)

Patryk Płokita - „Republikanin, rewolucjonista, deista, bohater narodowy - Tadeusz Kościuszko” (49-54)

Wywiad z rosyjskim nacjonalistą, tradycjonalistą Alexeyem Levkinem – rozmawiał Witold Dobrowolski (55-58)

Leon Drzewczyk - „Słowo o najwyższej prawdzie” (59-60)

„Międzymorze szansą i nadzieją dla wschodu”

O idei Międzymorza mówiło się już od dawna, były to raczej zwykłe przebąkiwania niż nadzieja na realizację tego planu. Minęło trochę czasu, zmiany na arenie międzynarodowej stworzyły okazję, żeby to, o czym wcześniej mówiło paru śmiazków, zainteresowało szersze grono odbiorców.

Problemy państw zachodnich, kryzys Unii Europejskiej, tworzenie się sojuszu rosyjsko-tureckiego, kryzys imigracyjny, terroryzm - to wszystko spowodowało, że kraje Europy Wschodniej też muszą zacząć działać w którąś stronę, a zamiast wpadać w objęcia wielkich imperiów, lepiej stworzyć coś na bazie współpracy ze swoimi sąsiadami i krajami pobliskimi. W tym tekście przedstawię dlaczego idea Międzymorza powinna być dla nas ważna w tym ciężkim dla naszego kontynentu czasie.

Unia Europejska zaczyna drażnić coraz więcej narodów Europy, na przekór im rządzącym - najlepszym przykładem jest tutaj Wielka Brytania. UE od początku swego istnienia jest dla tych największych państw idealnym narzędziem do wymuszania i stawiania pod ścianą swoich mniejszych „kolegów”. Trudno przeciwstawić się Zachodowi w pojedynkę, stworzenie Międzymorza daje szansę na większą pewność siebie i większe pole działania przeciwko szkodliwej dla naszego regionu polityce. Tworzenie wspólnych stanowisk postawi nas wszystkich w silniejszej sytuacji, dzięki czemu Zachód zacznie w końcu traktować nasz region poważniej niż jako chłopców na posyłki. Walczą się w przyszłości Unia Europejska wcale nie musi oznaczać jakichś wielkich politycznych zmian, jeżeli na ten upadek Europa Wschodnia będzie przygotowana wspólnie. Konsolidacja Europy Wschodniej jest koniecznością - od Zachodu zaczynamy różnić się coraz bardziej. To jest już zupełnie inny świat. Ateizm, konsumpcjonizm, obojętność, bierność - to wszystko zabija Zachód, to wszystko też w pewien sposób chce przeniknąć do naszych krajów. Nie jest to jednak bajka państw wschodnich, prawda?

Wiele też w przeszłości pisałem tekstów o dawnej Europie, chęci jej odzyskania, tęsknocie. Jednak teraz, z biegiem czasu, kiedy widzę co na tym Zachodzie się dzieje, kiedy księża i wierni są siłą wyprowadzani z kościołów, a na ich miejsce buduje się nieruchomości, kiedy same zachodnie społeczeństwa nie dążą do zmiany, nie chcą jej, nie potrafiąc zacząć wierzyć w coś więcej niż bożka pieniądza i przeżycia z dnia na dzień, kiedy widzę ten cały zachodni świat i syf jaki się tam narobił zadaje sobie szczerze pytanie: czy warto za nich nadstawiać głowy? Czy to jednak po prostu tak ma być i tak zachodni świat właśnie ma wyglądać? Nie jestem w stanie zobaczyć na horyzoncie jakiegokolwiek możliwości rewolucji ducha. Tym co teraz musimy zrobić, to skupić się na sobie - a w szczególności razem opierać się zachodnim, brukselskim wymuszeniom (przykładem są "groźby" do państw niechających przyjmować uchodźców). Ten kompleks Zachodu, to mówienie o Europie i myślenie od razu o państwach zachodnich - to wszystko musi się tak naprawdę zmienić. Zacznijmy myśleć o Europie nie jako o Rzymie, Paryżu czy Berlinie - ale o Warszawie, Wilnie, Mińsku, Kijowie, Zagrzebiu, Budapeszcie, Pradze, Bratysławie, Rydze itd. Musimy zacząć się martwić o siebie, szczególnie, że młode pokolenia dalej wychowywane są w zachwycie Zachodem, niosącym dla nich jedynie duchową pustkę. Wszyscy z nas muszą pamiętać, że dla Zachodu istnienie naszych państw jest nic nie znaczącym zjawiskiem. Jesteśmy tylko pionkami na ich szachownicy. Wiadomą sprawą, że Zachód od idei Międzymorza będzie nas odganiał, chcąc nas skłócić dla lepszej realizacji ich interesów. Już dawno Europa Wschodnia nie miała takiej szansy na zbudowanie własnej siły.

Idea Międzymorza może stworzyć nowego człowieka Wschodu, nie tego wiecznie smutnego i zmęczonego, patrzącego z zazdrością na Zachód, ale dumnego ze swej tożsamości, bezpiecznego we własnym kraju, wierzącego w swoją religię, dumnego z pochodzenia, gotowego do poświęcenia, szczęśliwego ze swojego życia nie tylko ze względów materialnych. Tak - to my teraz musimy kulturowo zacząć oddziaływać na Zachód, jeżeli jakkolwiek ma do nich przyjść ratunek, to tylko ze Wschodu. To nie my mamy z nich brać przykład, ale oni z nas. Jeżeli mamy jakiegokolwiek jeszcze kompleksy wobec nich, to porzućmy je. Naszym zadaniem jest właśnie patrzeć na dzisiejszą Europę pod tym kątem. Teraz ruch należy do Wschodu. Zachód ma swoje problemy, my swoją postawą

możemy pomóc zacząć im z nich wychodzić – jeżeli tylko będą chcieli się od nas uczyć, zamiast unosić się dumą swojej „postępowości”. Jeżeli tenże Zachód pomimo swoich ogromnych problemów i martwych ludzi na ulicach swoich miast oleje wschód, hmm... nie płaczmy za nimi. Każdy ma to, na co zasłużył. Czasem wydaje mi się, że my bardziej się nimi martwimy, niż oni kiedykolwiek nami.

Jest też pewne grono osób wątpiących w Międzymorze ze względu na historię i na to, że między narodami Europy Wschodniej przelało się dużo krwi. Jasne, każdy z nas zna historię – jednak ta krew, te walki, te błędy były podejmowane przez naszych przodków. My nimi nie jesteśmy, piszemy własną historię. Nie musimy iść drogą jaką obrali oni. Warto usiąść razem do jednego stołu i zacząć ze sobą po prostu rozmawiać. Jesteśmy już nowym pokoleniem, z czystą kartą, nie popełniamy błędów przeszłości. Nie budujemy z góry stosunków między nami obcych, zbudowanych na fałszu i pomówieniach – zamiast tego poznajmy się, rozmawiajmy, przedstawiamy swoje stanowiska na dane tematy, dzięki temu możemy też odnaleźć różne ciekawostki i obalić pewne stereotypy. Jasne, historia może być przeszkodą, ale o historii też trzeba wspólnie rozmawiać, zamiast nią w siebie ładować i nakręcać spiralę nienawiści – bo to jednak historia, a my rzeczywistość chcemy tworzyć po swojemu, żeby nas kiedyś oceniono inaczej niż naszych poprzedników. Każda nasza decyzja to lekcja dla przyszłych pokoleń, a lepiej żeby ona była pozytywna, zamiast kolejnej rzeki krwi.

Podsumowując, Międzymorze jest ogromną szansą dla państw wschodnich na odcięcie się wreszcie od Zachodu i prowadzenia silniejszej polityki niż dotychczas. Międzymorze to szansa na załatanie historycznych waśni pomiędzy narodami. Międzymorze to w końcu szansa na kulturową ofensywę, na promocję prawdziwych europejskich wartości, które wciąż budują tożsamość Wschodu. Lekiem dla Zachodu jest Wschód. W Europie Wschodniej jest nadzieja i zwycięstwo!

Krzysztof Kubacki

„Ukrainiec JEST moim bratem”

„Żaden Ukrainiec nie jest moim bratem” – to idiotyczne, kompromitujące wręcz dla posługujących się nim hasło stało się niedawno modne wśród narodowców. Nie jest oczywiście bratem Ukrainiec mordujący Polaków, mający ich krew na rękach. Ale czy tylko do takich wydarzeń można skrócić historię Ukrainy? Niezależnie od tego jak ją ujmujemy – czy będziemy datować jej początki na okres Rusi Kijowskiej, kozaczyzny czy odrodzenia narodowego w XIX wieku, w każdym okresie w dziejach etnosu rusko-ukraińskiego znajdziemy postaci, w których możemy widzieć braci. A jeśli nie braci, to sojuszników, ludzi Polsce przychylnych.

Nikogo znającego dzieje Ukrainy nie może dziwić, że postaci propolskie w jej historiografii nie odgrywają dziś roli kluczowej. Kraj ten od setek lat znajdował się pod przemożnym wpływem cywilizacyjnym Rosji w jej różnych formach państwowych, zaś ostatnich 25 lat niepodległości naznaczonych było być może zbliżeniem z Polską, ale na pewno nie umiejętnym prezentowaniem przez III RP łączących nasze narody wzorców historycznych. A jest takich wiele, o czym właściwie w ogóle się u nas nie mówiło. Z tego też powodu nie dziwi przetaczająca się przez Polskę fala niechęci do Ukraińców, wywołana często dość świeżym zetknięciem się z informacjami o charakterze i skali Rzezi Wołyńskiej. Bulwersuje ona dość powszechnie i trudno tego nie rozumieć.

Jak wspomniano, są jednak w historii Ukrainy momenty spajające ją z dziejami Polski. Punktem wyjścia jest tu oczywiście historia Rusi, która, będąc istotną częścią państwa litewskiego, weszła w unię z Polską. Samo Wielkie Księstwo Litewskie traktowane jest na Ukrainie, co najmniej od czasów Mychajły Hruszewskiego, jako emanacja ruskich dążeń państwowych, twór de facto rodzimy, przez wpływy ruskie zdominowany. Mówi się czasem, że Ruś dostała się pod wpływy cywilizacyjne Polski, w czym oczywiście jest dużo prawdy, ale nie był to stosunek jednostronny. Od końca XIV wieku aż do pierwszych dziesięcioleci XVII wieku książęce elity ruskie nie poczuwają się do bycia częścią narodu polskiego – dążąc do uzyskania przywilejów takich jak polska szlachta, ciężą ku niemu, ale mają silną świadomość odrębności. Ruś jest sojusznikiem Polski, stanowi z nią coraz bardziej nierozdzielny całość. Całość ta budowana jest na zasadach braterstwa: „Nie dostąpi łaski zbawienia, kogo nie wspiera tajemnicza siła miłości – z miłości bowiem łączą się narody”, głosi preambuła do tekstu Unii Horodelskiej z 1413 roku. Nieco ponad 100 lat późniejsza bitwa pod Orszą stanowi we współczesnej ukraińskiej historiografii ważne zwycięstwo – a przecież w skład wojsk Konstantego Ostrogskiego (ród to kluczowy dla dziejów Rusi książęcej) wchodziło zarówno Polaków, jak i Ukraińców. Użyty przez Ruch Azowski, choć przewijający się w tym charakterze gdzieś wcześniej, jako symbol idei Międzymorza krzyż jagielloński jest świadectwem, że także ukraińscy nacjonaliści spoglądają coraz częściej na to dziedzictwo pozytywnie.

W ramach tej wspólnoty narodów ruskie bojarstwo miesza się z polskim, częściowo polonizuje (z drugiej strony, polskie chłopstwo na ziemiach wschodnich często ulega rutenizacji, o czym pisał m.in. Jan Ludwik Popławski), znaczna część drobniejszej szlachty ruskiej zasila zaś stan kozacki, formujący się na pograniczu, na Dzikich Polach. I to kozactwo też przecież długo definiuje się w kategoriach formacji lojalnej wobec wspólnego króla – Zygmunt August, Stefan Batory, Władysław IV przeszli do historii jako wielcy dobroczyńcy kozaczyzny. Wszelkie bunty, spadające po nich represje, niesnaski i krzywdy wyrządzane sobie wzajemnie mają ograniczony zasięg aż do powstania z połowy XVII wieku. W Polsce jest zresztą świadomość, że to także głupota i krótkowzroczność polityki polskiej szlachty wobec kozactwa doprowadziła do wrzenia w jego łonie. Do czasu powstania Chmielnickiego Ruś i Polska są nierozdzielne – i nie jest przypadkiem, że do tego momentu stanowimy mocarstwo w skali europejskiej, siłą targaną może wieloma konfliktami wewnętrznymi, ale zdolną do mobilizacji wielkiej siły, hegemonia w Europie Wschodniej. Przekonali się o tym Moskale w 1618 roku, kiedy Petro Konaszewicz-Sahajdaczny doszedł niemal do Moskwy, łącząc się z wojskami polskimi, jak i Turcy 3 lata później, kiedy ów wielki kozacki hetman umożliwił skuteczną obronę Chocimia. Tak – pierwsza bitwa pod

Chocimiem została przez wygraną w dużej mierze dzięki 30-tysięcznym posiłkom kozackim (stanowiącym niemal połowę wojsk Rzeczypospolitej). Łatwo sobie wyobrazić co mogłoby się stać, gdyby ponad 100-tysięczna armia turecka wlała się na ziemię Rzeczypospolitej, a momentami przecież niewiele do tego brakowało. Symbolicznym niech będzie fakt, że Konaszewicz-Sahajdaczyński, wierny wspólnemu państwu hetman, zmarł w wyniku odniesionych pod Chocimiem ran – podobnie jak zmożony wcześniej chorobą, zmarły w czasie oblężenia chocimskiego zamku polsko-litewski hetman Jan Karol Chodkiewicz.

Mimo że wojny z połowy XVII wieku dosłownie przeorały Ukrainę, wyludniając niektóre jej połacie niczym 400 lat wcześniejszy najazd mongolski, wśród kozaczyzny wciąż pojawiały się pomysły powrotu do kursu propolskiego – tym razem zresztą, po stronie korony, także było nieco więcej chęci do kompromisu. Unia Hadziacka z 1658 roku, na rzecz której działał następca – a jak chcą niektórzy, także kontynuator zamiarów – Chmielnickiego, hetman Iwan Wyhowski, stworzyła szanse wyjścia z brutalnej wojny na w miarę zdrowych, a przynajmniej odpowiadających potrzebom chwili zasadach. Do życia została powołana Rzeczpospolita Trojga Narodów, z Księstwem Ruskim, na czele którego stać miał kozacki hetman, jako częścią składową. Nie jest zresztą prawdą, że Unię Hadziacką potępia cała ukraińska historiografia. Wielu wybitnych przedstawicieli ukraińskiej kultury, jak Pantelejmon Kulisz czy Wiaczesław Łypyński, wyrażało się o niej pozytywnie. Mimo swojej nietrwałości oraz wad, których nie ma sensu dziś negować, ma ona potencjał by łączyć dziś Polskę i Ukrainę. Wspomnijmy, że 20 maja 2016 roku w Hadziaczu miała miejsce konferencja na rzecz stworzenia Międzynarodowego Stowarzyszenia Konfederacji Bałtycko-Czarnomorskiej, w której wzięli udział przedstawiciele państw Międzymorza, z posłami parlamentów Polski i Ukrainy włącznie. Trudno wyolbrzymiać znaczenie tego faktu, ale może unia z 1658 roku zainspiruje jeszcze kiedyś do realnego zbliżenia?

Pomysły pojednania polsko-kozackiego powracały także później. Wielkim orędownikiem tej współpracy był król Jan III Sobieski. Później, w dobie wojny północnej, pod auspicjami „Aleksandra Północy”, jak zwano walecznego Karola XII zajaśniały perspektywy sojuszu króla Polski Stanisława Leszczyńskiego z hetmanem Iwanem Mazepą, niestety zniweczone pod Połtawą w 1709 r. – bitwa ta pogrzebała szanse tak Ukrainy, jak i Polski na podmiotowe istnienie na arenie międzynarodowej. Z wszystkich tych aktów historycznych przebija nostalgia za dawnym współżyciem w ramach Rzeczypospolitej, zmarnowanym przez stanowy egoizm polskiej szlachty i anarchizm ukraińskich kozaków oraz okrucieństwa wymierzane sobie wzajemnie w trakcie towarzyszących kolejnym odstępom konfliktu rzezi.

W dobie XIX-wiecznego ukraińskiego odrodzenia narodowego szybko pojawiają się tendencje propolskie, obecne w kijowskim Bractwie św. Cyryla i Metodego, założonym w 1845 roku. Najbardziej znana jego postać, wieszcz narodowy Ukrainy i najwidoczniejsza chyba na ulicach kraju historyczna postać, czyli Taras Szewczenko, była wielkim orędownikiem pojednania z Polakami. „O takto, Lachu, druhu-bracie/Zachłanni księża i magnaci/Rzucili waśń pomiędzy nas/I przeto minął zgody czas/Więc podaj rękę kozakowi/I czyste serce swoje daj!/A wspólnie w imię Chrystusowe/Wskrzესimy znowu cichy raj”, pisał Szewczenko w duchu być może nie do końca nam odpowiadającym, ale przecież zawsze trzeba mieć na uwadze perspektywę drugiej strony. Utrzymywał Szewczenko ożywione kontakty z polskimi narodowymi rewolucjonistami tych czasów, projektującymi przyszłe wspólne państwo, gdzie gospodarować będą Ukraińcy na równi z Polakami. Dziś pomnik Szewczenki stoi w Warszawie, a na jego cokole wyryty jest fragment wspomnianego wiersza „Do Polaków”. Takie samo przesłanie byli skłonni formułować do nas także Iwan Franko i Łesia Ukrainka, stanowiący wraz z Szewczenką, trójkę ukraińskich wieszczów narodowych – dodajmy, że w ukraińskiej popkulturze są oni dziś symbolem obecnym daleko silniej niż Mickiewicz, Słowacki i Krasiński w naszej. Czy to mało znacząca tradycja?

W dobie ukraińskiej wojny o niepodległość, jak wiadomo, doszło do sojuszu pomiędzy Józefem Piłsudskim a Symonem Petlurą, przywódcą Ukraińskiej Republiki Ludowej. Niepowodzenie podjętej w myśl tej umowy wyprawy kijowskiej nie umniejsza poświęcenia ukraińskich żołnierzy w wojnie obronnej przeciw bolszewikom. W słynnej obronie Zamościa, tak kluczowej dla powodzenia

kampanii, wstawił się płk Marko Bezruczko, wraz ze swoimi żołnierzami. Po wojnie żołnierze URL zostali internowani, a Piłsudski, wobec niepowodzenia swoich planów budowy bloku Międzymorza, zmuszony był wyrzec niedawnym ukraińskim sojusznikom słynne słowa: „Ja was przepraszam, panowie. Ja was przepraszam”.

Część narodowców w Polsce skłonnych jest zupełnie bezmyślnie deprecjonować wyniki z tego paktu udział ukraińskich żołnierzy w walkach po polskiej stronie – czynią tak w imię dotrzymania wierności programowi endecji, przeciwnemu owemu sojuszowi. Ciężko o większą bezmyślność – stawianie politycznego programu jednego ze stronnictw (nawet gdyby zakładać jego słuszość) ponad faktycznie przelaną krew ukraińską w obronie Polski przed bolszewizmem jest żałosne. Z drugiej strony, także ukraińscy nacjonaliści, mimo formułowanych wobec Petlury różnej natury zastrzeżeń, być może zbyt mało uwagi poświęcali ukraińskim żołnierzom Międzymorza, poległym w 1920 roku w walce z bolszewicką Moskwą.

Okres II wojny światowej to nie tylko Rzeź Wołyńsko-Galicyjska. W 1939 roku ponad 100 tys. Ukraińców karnie wypełniło swoją służbę w obronie II RP – o czym zresztą w tym roku na Ukrainie przypominano w czasie obchodów zakończenia wojny. Wśród wówczas zasłużonych był płk Pawło Szandruk, oficer kontraktowy Wojska Polskiego, bohater armii URL, pod koniec wojny dowódca Ukraińskiej Armii Narodowej. W czasie bitwy pod Tomaszowem Lubelskim uratował przed zniszczeniem polską brygadę, za co już w czasach emigracji gen. Anders nagrodił go krzyżem Virtuti Militari. Dziś Szandruk jest postacią popularną w niektórych kręgach ukraińskich nacjonalistów – czy wyczytamy o tym na ukrainofobicznych stronach? W czasie wojny zabłysnęła także postać atamana Tarasa Bulby-Borowca, formującego na Polesiu petlurowskie oddziały partyzanckie (Sicz Poleska), twórcy tzw. „pierwszej UPA”, energicznie sprzeciwiającego się rzeziom na Polakach, dokonywanym przez banderowców. O postaci tej w ukraińskich środowiskach narodowych się pamięta, choć pewnie niedostatecznie.

Mamy wreszcie przykład najbardziej bolesnego chyba wymiaru braterstwa polsko-ukraińskiego. Mowa o tych Ukraińcach, którzy zdecydowali się ratować Polaków w czasie Rzezi Wołyńskiej, przed śmiercią z rąk swoich rodaków. Zdecydowało się na to tysiące ludzi – wielu z nich samemu przypłaciło to życiem (historycy odnotowali jak dotąd liczbę 896 za to zamordowanych). Odnotowanie i uhonorowanie takich przypadków powinno znaleźć swoje miejsce w polityce historycznej obu państw – niezależnie od formułowanej przez nie narracji wobec swoich formacji zbrojnych. Paradoksalnie, ci prości na ogół ludzie umieli ocalić człowieczeństwo oraz ideał wspólnego życia obu narodów – tak istotny w skali historycznej i geopolitycznej – znacznie lepiej niż zadeklarowani nacjonaliści.

Czy Ukraina poczuwa się do powyższych tradycji? Do niektórych tak, inne sobie dopiero przypomina, o niektórych nie pamięta w ogóle, co nie znaczy że zapomniała na zawsze. Sprawy pamięci historycznej są przecież dość płynne. Jeszcze całkiem niedawno kult UPA nie wykraczał poza zachodnią Ukrainę (czołowi dziś publicyści niechętni Ukrainie zarzekali się na wszystkie sposoby, że nie ma szans by poza nią wykroczył), a dziś zdobywa z powodzeniem resztę kraju. Z drugiej strony – przecież i u nas widać duże zmiany w świadomości historycznej. Jeszcze kilka lat temu mało kto wiedział o Żołnierzach Wyklętych czy Rzezi Wołyńskiej – dziś te tematy są na ustach wszystkich. Być może za kilka lat wszyscy będą mówić o ostatnim chyba przemilczanym ludobójstwie na narodzie polskim, jakim była Operacja Polska NKWD z lat 1937-1938, w toku której sowieci wymordowali 111 tys. naszych rodaków. I pomyśleć, że względnie niedawno XX-wieczna martyrologia narodu polskiego wyrażała się w pamięci o zbrodniach niemieckich, część wiedziała o Katyniu, ale nie mogła o tym głośno mówić. Przywracane są pamięci zbiorowej zapomniane postaci z naszej historii – 10 lat temu hasło „Roman Dmowski, wyzwoliciel Polski” niewiele by mówiło statystycznemu młodemu Polakowi, a o Witoldzie Pileckim wiedzieli głównie historycy i nieliczni pasjonaci. Pamięć historyczna narodów podlega ciągłym ewolucjom. Oczywiście niektóre osoby czy formacje mają większy potencjał mitotwórczy niż inne. Tu zresztą tkwi tajemnica powodzenia kultu UPA, formacji tak krwawo zapisanej w naszych dziejach, ale przecież – miejmy odwagę stanąć tu na gruncie historycznych faktów – prowadzącej równolegle

zajadła walkę przeciw sowietom, nieraz do ostatniej kropli krwi. Heroizm działa najsilniej na umysły młodych ludzi i dlatego zapewne kult UPA silny będzie na Ukrainie jeszcze długo. Nie znaczy to, że nie może być on dzielony z innymi, równie bitnymi formacjami. Tym bardziej, że wstawiły się one na froncie walki z Rosją – Konaszewicz-Sahajdaczny czy Petlura, mimo że nigdy nie odgrywali w ukraińskiej historiografii ról dominujących, a ich działania datują się dawniej niż walka UPA, mają pewien potencjał do bycia popularnymi. Biorąc pod uwagę z jednej strony niewygasającą siłę mitu kozackiego, a z drugiej przywracanie ukraińskiej świadomości epizodów z okresu tzw. rewolucji narodowej lat 1917-1921 (jak np. Republika Chłodnego Jaru), można to sobie wyobrazić, tym bardziej, że Ukraińcy mają się w obu wypadkach czym szczyścić. Na tym polu winniśmy im życzliwą cierpliwość, dialog, a być może i formułowanie pewnych sygnałów. Coraz popularniejszy pomysł postawienia w jednym z najbardziej prestiżowych miejsc Warszawy pomnika polsko-ukraińsko-białoruskiego braterstwa broni z 1920 roku mógłby odegrać tu jakąś rolę. Także więc i po naszej stronie może leżeć inicjatywa w zbożnym dziele przypominania Ukraińcom o wspólnych epizodach z historii.

Musimy zresztą przy tym wszystkim zdać sobie sprawę z pewnego, dość oczywistego, wydawałoby się, faktu – żaden naród nie zrezygnuje ze swoich bohaterów pod naciskiem drugiego. Ukraińcy nie będą definiować swojego postrzegania historii narodowej przez pryzmat jedynie tego jaki dana postać miała stosunek do Polski. Podobnie zresztą i my reagowalibyśmy gdyby ktokolwiek wysuwał pretensje pod adresem dowolnej postaci z naszych dziejów – nawet gdyby jego uwagi były uzasadnione. To są rzeczy naturalne, co nie znaczy, że musi nam się obecny stan podobać. Ważne w tym miejscu jest stwierdzenie, że są w historii Ukrainy wydarzenia i postaci, mogące łączyć Ukraińców z Polakami. Kibicujmy Ukraińcom w dziele rekonstruowania swojej pamięci historycznej – w oparciu także o te wzorce.

Jakub Siemiątkowski

PS Kilka dni po napisaniu tego tekstu (przed publikacją), w sieci ukazał się artykuł „Czy możliwa jest wspólna ukraińsko-polska polityka pamięci” (Чи можлива спільна українсько-польська політика пам'яті), autorstwa Ihora Zahrebelnego, jednego z ideologów współczesnego ukraińskiego nacjonalizmu. Zahrebelny pisze w nim o konieczności szukania tych wątków w historii, które nas łączą. Wymienia bitwy pod Grunwaldem i Chocimiem, wojny przeciw Moskwie, rok 1920. Zarysowuje też perspektywę redefinicji stosunku do Rzeczypospolitej, do której odwoływać się mogliby się także Ukraińcy.

„This is no future, it's Europe at war” – zapiski z oblężonej twierdzy”

Pamiętam taką scenkę, że gdy 11 listopada ubiegłego roku opuściłem pewien warszawski lokal znajdujący się przy ulicy Foksal, udałem się na Plac Konstytucji celem spotkania ze znajomymi, podczas wędrówki zostałem zaczepiony (bodajże z powodu bluzy z charakterystyczną jaszczurką i napisem „Narodowe Siły Zbrojne”) przez małżeństwo typowych, mówiąc potocznie, „lemingów” którym chyba zamarzyło ponabijać się z, jak się spodziewali, średnio inteligentnego narodowca zadając mu różne podchwytliwe pytania. Niestety, gdy próba skompromitowania mej osoby pytaniem czym były NSZ spaliła na panewce a dyskutant okazał się być bardziej rozgarnięty niż to było pierwotnie zakładane, przyszło do bardziej merytorycznych dyskusji, a wręcz – z ich strony – próby zrozumienia, kim są ludzie, którzy co roku przyjeżdżają do stolicy na Marsz Niepodległości. Z uwagi na fakt, że wydarzenie to w ubiegłym roku miało ukazać nasz sprzeciw wobec imigracji, zostałem zapytany co mi w tych imigrantach tak bardzo nie odpowiada. Odpowiedź była bardzo prosta – to nie żaden rasizm, to po prostu nasze uzasadnione obawy o bezpieczeństwo Europy, to strach przed terroryzmem.

Dlaczego o tym piszę? Bo zastanawia mnie czy ci państwo przypominają sobie właśnie dyskusję sprzed kilku miesięcy i potrafia, z bólem, przyznać, że to ja wówczas miałem rację.

Takiej serii zamachów Europa nie widziała już od dawien dawna – może w czasach tzw. „problemów” („The Troubles”) w Irlandii Północnej bądź podczas włoskich „lat ołowiu”. Problem w tym, że w obu tych przypadkach (można do tego doliczyć jeszcze na przykład działalność Frakcji Czerwonej Armii czy baskijski separatyzm) akty na przypadkową ludność cywilną miały charakter sporadyczny, często spotykały się z potępieniem samych środowisk terrorystycznych (atak bombowy na siedzibę Springera zorganizowany przez Ulrike Meinhof spotkał się z krytyką wewnątrz RAF, włoscy nacjonaliści uparcie twierdzą, że zamach na dworzec boloński, za który odpowiadały skrajnie prawicowe Zbrojne Komórki Rewolucyjne, był wynikiem działań wywiadów państw NATO w ramach tzw. operacji Gladio). Niemniej jednak nawet te najbardziej brutalne ataki często miały jakąś głębszą myśl, jakieś przesłanie i dalej idący cel – czy to rewolucja socjalistyczna, czy jej powstrzymanie. A jak wygląda sprawa z obecnymi zamachami? Niektórzy terroryści zapewne wierzą w to, że swymi działaniami służą Państwu Islamskiemu – jednak bardziej przydaliby mu się aktualnie na froncie, walcząc przeciw siłom Assada czy koalicji państw zachodnich. Część z nich nie myśli zapewne w takich kategoriach – marzy po prostu o „zabijaniu niewiernych” i o niczym więcej.

W tej fali przemocy należy też dokonać pewnego uporządkowania, systematyzacji. Przypomnijmy sobie to jeszcze raz. Zaczęło się 14 lipca w Nicei śmiercią 84 osób – sprawca zamachu, który skądinąd potwierdził tezę zwolenników prawa do posiadania broni palnej, że nie potrzeba karabinu by dokonać masakry, fascynował się Państwem Islamskim, a w jego domu znaleziono takie skarby jak flaga tejże organizacji terrorystycznej czy zdjęcia Osamy bin Ladena oraz ludzkich zwłok. Cztery dni później Bawaria – 17-letniemu Afgańczykowi najwyraźniej znudziło się życie w obozie dla uchodźców dlatego chwycił za siekierę i nóż którymi zamordował 4 pasażerów pociągu. Kolejna była strzelanina 22 lipca w Monachium – skądinąd wymowna data bo w 5. rocznicę zamachów na Utoyi. Na nieszczęście dla demoliberalnych elit oraz lewicy sprawcą nie okazał się kontynuator antyislamskiej i prawicowej krucjaty, która rozpoczęła się w Skandynawii – strzełał Irańczyk. Nie był to jednak, trzeba na wstępie zaznaczyć, zamach terrorystyczny, a jedynie jeden z wielu tzw. active shooterów czyli wariatów, którzy swoje własne problemy załatwiają chwytając za broń i mordując ludzi. Sprawca fascynował się Andersem Breivikiem, co media od czasu do czasu podkreślają, ale raczej poglądy tego terrorysty były mu obojętne – fascynował się wieloma masowymi zabójcami, dla niego zapewne Breivik równie dobrze mógłby być komunistą. Warto jednak wspomnieć, bo to wielce wymowne i przyda się w dalszych rozważaniach, że morderca z Monachium nienawidził Turków i to do nich strzelał gdyż prześladowali go w szkole. 24 lipca 21-letni Syryjczyk zamordował naszą rodaczkę w Niemczech – tym razem w ruch poszła maczeta i

zapewne z przyczyn osobistych a nie pobudek terrorystycznych. Inna rzecz że można zastanawiać się czy częściej w takich sytuacjach za broń białą chwytają Europejczycy, czy osoby spoza naszego kręgu kulturowego... nie chcę jednak przesądzać. Tego samego dnia jednak miał miejsce zamach bombowy w niemieckim Ansbach, do którego przyznało się ISIS. Na nieszczęście dla zamachowca jedyną ofiarą śmiertelną był on sam – aż chciałoby się rzec że ciężkie jest życie terrorysty-samobójcy. I wreszcie 26 lipca – morderstwo kapłana w kościele dokonane przez dżihadystów z Państwa Islamskiego.

Oczywiście tych ataków będzie więcej – zarówno aktów terroru jak i pospolitego bandytyzmu. Zapewne niejedna Niemka zostanie, jak to się przyjęło w naszym nacjonalistycznym środowisku kolokwialnie ujmować, „ubogacona kulturowo”, zapewne niejeden Francuz zostanie napadnięty i pobity. To, co my mówiliśmy od dawna, staje się faktem – w Europie powstają getta i różnice społeczne identyczne do tych, które kojarzą nam się ze Stanami Zjednoczonymi. Już od lat Zachód był terroryzowany w święta narodowe setkami podpaleń samochodów, a francuska straż pożarna (pełniąca przy okazji rolę podobną do naszej straży miejskiej) w niektóre rewiry po prostu bała się jeździć, jednak teraz skala agresji, przemocy i nienawiści będzie nieporównywalnie większa.

W tym miejscu, moim zdaniem, należy rozprawić się z pewnym mitem, który pokutuje na szeroko pojętej „prawicy” i który wygłaszają zarówno nacjonałiści, jak i – obecnie – systemowi konserwatyści. Otóż istnieje przeświadczenie że cały problem polega na tym iż imigranci nie chcą się integrować ze społeczeństwem, że to brak asymilacji sprawia iż dochodzi do tak tragicznych wydarzeń. A ja odpowiadam – otóż jest to całkowita bzdura.

Zacznijmy może od tego, że tzw. „młodzi” endecy oraz narodowi radykałowie, snując wizje na temat Wielkiej Polski, która byłaby – paradoksalnie – bardziej „otwarta” niż zakładali to bardziej liberalni programowo „starzy” (którzy tworzyli wizje na temat chociażby Międzymorza), dopuszczali istnienie w Polsce różnych mniejszości, chociażby Rusinów czy Litwinów, gdyż oni mogą się zasymilować i współtworzyć naród polski. Inaczej wyglądała sytuacja z Żydami – ich, według Deklaracji Ideowej ONR-u, należało z Polski usunąć. Co sprawiało, że Polacy czuli taką niechęć akurat do Żydów? Pomińmy naturalnie brednie byłego Rzecznika Praw Obywatelskich, który kilkadziesiąt lat od powstania Obozu zadeklarował że Polacy wysysają antysemityzm z mlekiem matki. Słynna katolicka pisarkacka, Zofia Kossak-Szczucka, podczas II wojny zaangażowana w ratowanie Żydów w ramach Żegoty, napisała w tekście „Nasza najważniejsza sprawa”, że z międzywojennej Polski należy usunąć Żydów nie z motywacji, na przykład, religijnej ale dlatego ponieważ różnią się oni (i teraz padnie słowo na które liberałowie i lewacy mają uczulenie a niejeden grzeczniejszy prawicowiec odczuwa po prostu strach, bojąc się przyrównania do Hitlera) rasą. Różnią się kulturą, zachowaniem, a nawet wyglądem na tyle, że nie potrafimy – pisała kilkadziesiąt la temu autorka „Krzyżowców” - znieść kilkumilionowej mniejszości w naszym państwie.

Sądzę, że – również z przyczyn geograficznych – podobna sytuacja ma miejsce teraz. Ogromna fala Syryjczyków, Egipcjan, Tunezyjczyków, Libańczyków i przedstawicielei wielu innych narodów przybywa do Europy, do miejsca, które nie jest – mówiąc brzydko – ich miejscem. I to nie jest żaden „rasizm” ani „nienawiść” – przypominam że te jakże „antysemickie” tezy wygłaszała kobieta która była jedną z najważniejszych osób w ruchu, który podczas II wojny światowej Żydów przed eksterminacją ratował. Ogromnie szanuję historyczne dziedzictwo cywilizacji syryjskiej, to nie są żadni „barbarzyńcy”, wręcz przeciwnie, narodowi syryjskiemu należy obecnie zaś współczuć faktu, że tak mądrze urządzone państwo zostało obrócone w ruinę w wyniku wojny wywołanej w znacznej mierze rękami Zachodu. Egipcjanie budowali piramidy, a Kartagińczycy – których potomkami są Tunezyjczycy – byli o wiele lepszymi żeglarzami od Rzymian. Libańczycy mają w sobie geny Fenicjan, chrześcijańska mniejszość skupiona w Falandze dała świadectwo wierności Krzyżowi podczas krwawej wojny domowej, a Hezbollah jest dziś inspiracją dla narodowych rewolucjonistów w całej Europie. Cały problem polega w tym, że... oni nie są Europejczykami. My będziemy na nich patrzeć „inaczej”, a oni na nas. Zresztą, pewne uprzedzenia istnieją nawet w świecie islamu – Irańczyk strzelający do Turków, bo ci się nad nim znęcali, jest tutaj doskonałym przykładem. Inna

rzecz, że kto interesuje się Bliskim Wschodem, ten wie, że Irańczycy z kolei odczuwają ogromną wyższość nad Arabami i uwielbiają ją okazywać przy każdej możliwej okazji. A z kolei Strażnicy Cedrów, skrajni nacjonaliści z Libanu, podczas wojny domowej mordowali Palestyńczyków, uznając się za niemalże „rasę panów”, potomków starożytnego plemienia. A przecież gdyby przyjąć taką dość prymitywną narrację, sprowadzającą wszystko wyłącznie do odcienia skóry, to rzeklibyśmy, że przecież oni wszyscy są tacy sami.

Ktoś może jednak powiedzieć – no dobrze, ale co jeśli jednak się zasymilują, jeśli ich dzieci urodzą się już w Europie i zostaną wychowani w innej kulturze i innym świecie? Cóż, nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy imigranci wylądują w obozach dla uchodźców i dzielnicach nędzy, części z nich faktycznie udaje się odnieść w nowym miejscu „sukces” – pomijam tu naturalnie argumentację, że tym samym tracą rdzenni mieszkańcy danego obszaru, bo to rzecz oczywista. Cały problem leży w czymś zupełnie innym.

Często gdy dojdzie do zamachu terrorystycznego dokonanego przez islamistę (lub islamistów), znajomi się dziwią, że to niemożliwe, on niby był muzułmaninem, ale niespecjalnie wierzącym, średnio praktykował, nie miał kontaktów z ekstremistami... nie może być! Jest jednak coś, czego mainstreamowi politycy i ideologowie nie rozumieją – tym czymś jest (napiszmy to wielkimi literami) TOŻSAMOŚĆ.

Wbrew temu co się powszechnie uważa, islamizm to nie jest po prostu fanatyczna wiara w religię Mahometa. To ideologia, próba odnalezienia swojej własnej tożsamości nie na drodze religijnej lecz rozumowej. Nie oznacza to wcale że ich wiara nie jest wręcz fanatyczna jednak jest niejako wtórna wobec idei – a jest nią arabska, islamska tożsamość będąca opozycją dla świata zachodniego.

Dziesiątki tysięcy muzułmanów modlących się na ulicach i budujących kolejne meczety budzi nasz sprzeciw – ale nie mają budzić naszego zaniepokojenia tysiące Arabów którzy wyrzekają się własnej tożsamości? Jest to nie tylko okropne z punktu widzenia tożsamościowca (żeby ująć to precyzyjniej – jako katolik naturalnie ucieszyłbym się gdyby przeszli na wiarę w Pana Jezusa, jednak wielu bezrefleksyjnych „antyislamistów” chciałoby zapewne, żeby zrezygnowali oni również ze swojej kultury, obyczajów, a może nawet tożsamości narodowej czy plemiennej) gdyż w ten sposób przykładamy rękę do stworzenia tego modelu świata, który jest nam wrogi, świata obdzierającego ludzi z ich historii, wartości, przywiązania do ziemi ojczystej, jest to również szalenie nierozsądne. Jeśli nie ci przybysze to ich dzieci lub wnuki odczują tak silne zagubienie w świecie, który nie jest ich światem, że zaczną szukać swych korzeni – i odnajdą je, przy okazji zapewne radykalizując się w najbardziej dla nas niebezpieczny sposób.

Ostatnio czytałem o jednym z miast syryjskich, które było opanowane przez Państwo Islamskie i w którym Syryjki, żyjące od dziesiątków lat w świeckim społeczeństwie, miały doświadczyć najbardziej fanatycznego wydania szariat, takiego, który dla przeciętnego mieszkańca Syrii, Iranu czy Libii wydaje się być czymś nieracjonalnym, kompletnie wręcz niezyciowym. Kim byli bojownicy którzy zaprowadzili te porządki? W większości – Brytyjczykami. Nie wiem oczywiście czy akurat oni powielili ten scenariusz o którym pisałem wyżej – jednak wielokrotnie w mediach zastanawiano się nad fenomenem młodych Europejczyków (czy raczej – „Europejczyków”) którzy wyjeżdżają do Syrii by żyć w szeregach ISIS. Nie tylko walczyć – wszak wiele kobiet jedzie tam by żyć tak, jak tego ponoć życzyłby sobie Allah.

Zniszczenie Państwa Islamskiego nie będzie żadnym zakończeniem problemów, w które wpadliśmy. To dopiero początek. Daleko mi do pewnego dziennikarza, który aktualnie zamiast pracować dla TVP siedzi w jakiejś klitce i na YouTube wylicza, że w europejsko-islamskim konflikcie udział weźmie tyle a tyle milionów Europejczyków i tyle a tyle milionów muzułmanów jednak fakt jest taki, że napięcia zaczną się pojawiać. Oczywiście faktem jest też, że sytuacja zacznie, na swój sposób (tylko bardziej „bombowy”) przypominać tę z okresu międzywojennego, kiedy obecność mniejszości żydowskiej była (i nie jest to żaden „hate speech” lecz stwierdzenie faktu, który każdy historyk potwierdzi) źródłem „irytacji” nie tylko radykalnej części społeczeństwa, ale większości jego przedstawicieli. Naturalnie, jak już kiedyś pisałem, jeśli

nacjonalizm sprowadza się do antyislamizmu to jest on płytki i bezsensowny, jednak w tym momencie to zostawmy a także przyznajmy, że tak, faktycznie, takie zjawisko ma miejsce. W sytuacji, gdy pojawiają się rzesze obcokrajowców, a zwłaszcza przybyszów z innego kręgu kulturowego, którzy to w dodatku zaczynają już na dobry początek sprawiać problemy, to wówczas przeciętny Kowalski chętniej posłucha nacjonalisty niż zrobiłby to w sytuacji stabilizacji politycznej.

Tutaj właśnie pojawia się pewien problem – otóż bardzo często bywa tak, że przeciętny Kowalski, podobnie zresztą jak wielki biznesmen Nowak, zaczyna dostrzegać, że jego spokojne życie może się skończyć (niekoniecznie w biologicznym znaczeniu, choć różnie to bywa). Problem leży w tym, że niespecjalnie wie w jaki sposób ten problem można „rozwiązać”, a nawet jeśli wie, to niespecjalnie chce o tym myśleć, gdyż w swej hipokryzji nie potrafi przyznać, że potrafiłby tak egoistycznie postępować. Szczęśliwie są mniej wrażliwe jednostki które zajmą się problemem i go w odpowiedni sposób rozwiążą.

Powszechnie znana jest teza lewicy, że „fasyzm” był niczym innym jak radykalną kontrewolucją burżuazji, mającą na celu zniszczyć ruch robotniczy dążący do stworzenia dyktatury proletariatu. Innymi słowy, że umiarkowane, liberalne mieszczaństwo posunęło się do ustanowienia niedemokratycznego reżimu po to, by ochronić swoje wielkie interesy. A zatem oznaczałoby to, że walcząca z komunistycznymi bojówkami na ulicach młodzież była niczym innym jak pionkiem w grze.

Jakkolwiek myślę, że teoria ta znacznie upraszcza to co wydarzyło się w okresie międzywojennym i – skoro już trzymać się tego utartego określenia na literę „f” - wielu młodzieńców w czarnych koszulach nie było tylko tępyimi osiłkami lecz romantykami chcącymi zmieniać świat, to jednak nie zauważyć, że faktycznie również wielu przedstawicieli „starego porządku” niejako było beneficjentami przemian. Najlepszym przykładem jest oczywiście los „lewicy” wewnątrz hitlerowskiej NSDAP. Naziści w Niemczech po przejęciu władzy z wielką radością związali się z dotychczasowymi elitami finansowymi, zaś radykalne skrzydło które pragnęło społecznej rewolucji antykapitalistycznej zostało zmarginalizowane a wielu jego przedstawicieli trafiło do obozów bądź do grobu. W powojennych Włoszech podczas tzw. „lat ołowiu” neofaszystowskie zbrojne grupy walczące przeciwko Czerwonym Brygadam były jednocześnie instrumentalnie wykorzystywane przez wywiady NATO w ramach tzw. „strategii napięcia” (polegającej na aktach terroru o które można było oskarżyć później radykalną lewicę celem osłabienia wpływów komunistów na Zachodzie), a także przez słynną (użyję znów „kontrowersyjnego” słowa, tym razem budzącego u wielu politowanie i śmiech, zostawiając jednak na bok różne zwariowane teorie spiskowe, polecam zainteresować się tematem, gdyż był on w słonecznej Italii obiektem badań specjalnej komisji śledczej) lożę masońską P2, będącą niezwykle skądinąd przykładem „prawicowego” wolnomularstwa. Najlepszym przykładem jest tu oczywiście niesławny zamach bombowy na dworcu bolońskim zorganizowany przez Zbrojne Komórki Rewolucyjne (Nuclei Armati Rivolutionari – NAR), który wciąż budzi kontrowersje wśród społeczeństwa i rodzin ofiar, a o którego przeprowadzenie oskarżano, przykładowo, CIA i Mossad. Myślę też, że nikt nie wierzy w szczerą intencję rządzących Ukrainą w stosunku do nacjonalistów, którzy poszli walczyć na front – wielokrotnie padały oskarżenia, i to bynajmniej nie tylko ze strony rusofilów, że Kijów traktuje ochotników z Azowa czy Prawego Sektora jak mięso armatnie. Z polskiego podwórka nie sposób nie przywołać pewnej politowania godnej partii politycznej, która ładnych kilka lat temu dla rządzącej centroprawicy miała stać się, używając określenia medialnego, „gnijącą przystawką”.

Często nacjonaści mieli być więc pionkiem w grze – i niczym więcej. Gdy dokonali swego (a to w okresie międzywojennym przegonili „czerwonych” kastetami, a to w dobie zimnej wojny postrzelali do sympatyków ZSRR...) mieli wrócić do szeregu, najlepiej do więzienia.

Jeszcze jeden, dość makabryczny przykład – skoro już była wcześniej mowa o hitlerowcach to nie sposób nie przypomnieć, że wymordowanie społeczności żydowskiej było na rękę wielu grupom społecznym, które same nie chciały sobie pobrudzić rączek. Między innymi dla elit zachodnich,

które zaciągnęły przed II wojną światową tak wielkie zobowiązania u bankierów narodowości żydowskiej, że wizja anulowania tego długu w ten makabryczny sposób z pewnością wydawała się być atrakcyjna. Ciekawym jest fakt, że świat zachodni nie dowierzał w polskie doniesienia o Zagładzie – tak się składa, że narodowo-katolicki, antysemitowski rząd słowacki, który również pierwotnie nie wiedział o „ostatecznym rozwiązaniu” zgodził się na deportację ludności żydowskiej na tereny kontrolowane przez Niemców ale gdy uciekinierzy z Oświęcimia donieśli w Bratysławie o permanentnym ludobójstwie, które miało miejsce w hitlerowskim obozie, to wstrząśnięci tymi doniesieniami przywódca Słowacji zdecydował o natychmiastowym wstrzymaniu polityki wysiedlania. Skoro Słowacy mogli uwierzyć w morderczy plan nazistów to zachodnie elity nie potrafiły czy... po prostu nie chciały?

Czemu o tym wszystkim piszę? Zakładam oczywiście, że Czytelnik jest osobą inteligentną i rozumie doskonale, że nie zrównuję tu polskiego nacjonalizmu z hitleryzmem ani nie podejrzewam by nasi narodowcy nagle mieli organizować obozy śmierci dla imigrantów. Fakt jest jednak taki, że już kilka lat temu rządząca Francją centroprawica zaczęła przyznawać, że polityka multi-kulti nie do końca działa i zdecydowała o deportacji grupy Cyganów do Rumunii i Bułgarii. Wcześniej było to absolutnie nie do pomyślenia. Nie wiemy jaki będzie dalszy przebieg wydarzeń i do czego posuniemy się my, Europejczycy, by obronić nasz kontynent. Od pewnego czasu widać jednak pewną tendencję, która ma sprawić, że środowisko narodowe zostanie „wepchnięte” w objęcia obecnie rządzących. Naturalnie, w porównaniu z poprzednią ekipą aktualna wydaje się być bardziej sympatyczna – nie zmienia to jednak faktu, że do nacjonalizmu czy radykalnego tradycjonalizmu to jej daleko. Może sobie wykorzystywać patriotyczne hasła do woli, odwoływać się do naszych świętych barw i symboli, czcić żołnierzy wyklętych – wszystko to bardzo ładne, nawet cieszy serce, bo jest to jednak jakaś (skądinąd) dobra zmiana. Nie zmienia to jednak faktu, że my sięgamy myślami dalej i naszym celem nie jest tylko to, by Polacy nie wstydzić się swojej flagi i oddawali hołd bohaterom, a nie ich katom – nacjonalizm który ma coś znaczyć musi być programem politycznym a nie tylko estetyką, musi być radykalny i mówić o przemianach o wiele dalej idących niż zakłada to którakolwiek z głównych partii. Tymczasem niewykluczone, że dla wielu wizja w której narodowcy pełnią rolę jakichś organizacji paramilitarnych, albo na których kiedyś, kiedyś spadnie ciężar „obronienia cywilizacji łaćńskiej” przed „barbarzyńcami” jest atrakcyjna. Otóż – nie jest. Rozumiem pewien realizm polityczny gdyby zaistniała – na przykład – możliwość współkreowania polskiej rzeczywistości na poziomie nawet takiego PAX-u (nie mówiąc już o pomysle przedwojennej Falangi, by wraz z sanacyjnym OZN przegonić sanacyjną „lewicę” i wspólnie rządzić państwem) to zapewne przyklasnąłbym z radością. Obawiam się jednak, że kryzys imigrancki doprowadzi do tego, że nacjonałści zostaną potraktowani jako mięso armatnie. Niekoniecznie dosłowne – wystarczy po prostu, by po „obronieniu cywilizacji” (cokolwiek by to znaczyło) posłano nas w polityczny niebyt. Budowanie tożsamości nacjonalizmu wyłącznie na niechęci do islamu (lub – kojarzenie go z tym przez społeczeństwo) może doprowadzić do tego, że po bohaterskim „powstrzymaniu islamizacji Europy” zostaniemy ponownie zmarginalizowani. Zrobiliśmy swoje – możemy odejść. Poczciwe mieszczaństwo znów może żyć w liberalnej demokracji niezagrożonej przez „fanatyków”. Skądinąd zabawne, a jednocześnie dość wymowne, jest, że Mariusz Max Kolonko prorokował wiele lat temu, iż Ruch Narodowy (którego elementem składowym, rzecz jasna, miał być antyislamizm, bo na punkcie muzułmanów był dziennikarz TVP ma istnego fioła) miał być „partią środka”. Tak, narodowcy mieli niejako być mniej radykalni niż rządzący obecnie PiS który określony był jako „zbyt prawicowy”. Oglądając to kilka lat temu śmiałem się – dziś rozumiem, że to ma w sumie swój sens. Tylko... no właśnie, tak poza tym to jaka byłaby przyszłość polityczna i jaka alternatywa dla Polski? No właśnie.

Bądźmy rozsądni. Aktualna sytuacja w Polsce i Europie sprawia, że choć z jednej strony żyjemy w realiach gdzie – wbrew pesymistycznemu cytatu z piosenki Ordo Rosarius Equilibrio w tytule tekstu – nacjonalizm wreszcie ma chyba szansę sensownie zaistnieć i coś osiągnąć. Nie możemy jednak przy tym ani zmarnować swojej szansy, ani dać się wykorzystać. Nie bądźmy (używając popularnych powiedzonek) białymi Murzynami, którzy to (biali) Murzyni po zrobieniu swojego

mogą odejść.

Michał Szymański

„Nie dla islamizacji Europy 2.0”

Nie, nie chcę multi-kulti. Nie popieram przyjmowania muzułmańskich uchodźców, przede wszystkim jako kobieta – bardziej niż terroryzmu, obawiam się ich ekspansywnej, silnie patriarchalnej kultury. Nie pałam niechęcią do islamu jako religii, pod warunkiem, że panuje na własnym terytorium. Z przykrością jednak obserwuję, jak coraz to bardziej prymitywna retoryka antyislamska staje się „specjalnością” środowiska narodowego, przyćmiewając wewnętrzne problemy. Potrzebujemy „uchodźców”, by mówić o gwałcie czy demografii. Skorzystań na tym, może wyłącznie przytomna młoda lewica.

Poseł Marek Jakubiak (Kukiz'15) ruszył na wojnę z Urzędem Miasta Warszawy. Czyżby chodziło o dziką reprivatyzację nieruchomości wartych grube miliony? A może o warszawskich „czyścicieli kamienic”? Nie, chodzi o budowę meczetu na miejscu Reduty Ordona. To fajnie, że prawica „uczy się” samorządu (owacje!) – szkoda tylko, że wyłącznie wtedy, gdy pada słowo „islam”.

Co bardziej doskwiera Polakom: muzułmańscy uchodźcy grasujący na ulicach polskich miast, czy może kryzys służby zdrowia i brak miejsc pracy w zawodzie? Wbrew kolejnym sensacyjnym doniesieniom Dziennika Narodowego podejrzewam, że jednak to drugie. Jak dotąd (i oby jak najdłużej), w Polsce nie występuje zjawisko muzułmańskiej imigracji na masową skalę – mamy za to do czynienia z prekaryzacją pracy[1] i patologią w rodzinach na pozór wcale nie określanych jako dysfunkcyjne – wszystko to na znacznie za dużą skalę. Czemu zatem większość treści portali „narodowych” poświęca się muzułmanom?

Nic dziwnego – gdy po raz kolejny słyszy się wstrząsające doniesienia z Europy Zachodniej, trudno bagatelizować problem. Lecz gdy sprzeciw wobec imigracji staje się podstawą programu politycznego, to znak że źle się dzieje nie tylko w kraju, lecz także w samym ruchu narodowym. Jeszcze do niedawna, środowiska narodowe narzekały na „tematy zastępcze” w głównych mediach. Tymczasem dziś, pojedyncza wypowiedź imama staje się kwestią znacznie szerzej komentowaną w mediach „narodowych”, niż przykładowo sytuacja polskich lekarzy rezydentów, przemijająca gdzieś bez echa. Gdzie się podziały proporcje?

Wielu wciąż trudno w to uwierzyć, ale Polska nie jest celem imigrantów zarobkowych z Bliskiego Wschodu czy Afryki. Powód jest prosty: jesteśmy bez porównania mniej atrakcyjni pod względem ekonomicznym niż Niemcy, Belgia czy Francja. Szczęście w nieszczęściu. Co więcej, z roku na rok, coraz bardziej liczna i konsekwentnie napływająca do Polski, okazuje się imigracja ukraińska. Część pracodawców chętnie z tego faktu korzysta (np. Indesit), zatrudniając Ukraińców na warunkach, na które stopniowo przestają godzić się Polacy. Żadne to rozwiązanie – ukraińscy pracownicy stanowią jedynie poręczny substytut. Gdy zatem widzę plakat kolejnej manifestacji „antylimigranckiej”, zastanawiam się, co autor miał na myśli. I czy miał cokolwiek.

Podobnie jest z przemocą wobec kobiet. Nie trzeba być złośliwym, aby odnieść wrażenie, że dla niektórych gwałt jest sprawą dostatecznie oburzającą jedynie wówczas, gdy jego sprawcą okazuje się śniady cudzoziemiec. Przemoc seksualna wobec Europejki staje się argumentem w dyskusji o kryzysie migracyjnym, nie zaś problemem samym w sobie. Nawiązuję tu częściowo do artykułu o pociesznym tytule „Polki czują się bezpiecznie”[2]. Nasuwa się pytanie, które z nas mają się „czuć bezpiecznie”, skoro „jedynie” 19 procent Polek widnieje w niechlubnych statystykach. Te, które szukają pomocy prawnej i/lub psychologicznej w Centrum Praw Kobiet, bądź schronienia w Domu Samotnej Matki, na samo brzmienie powyższego tytułu, nie wiedziałyby – śmiać się, czy płakać? One nie trafiają do tych instytucji z winy imigrantów.

W swych „Wspomnieniach”, przedwojenna działaczka ONR-ABC, Maria Rutkowska-Kurcysz, tak pisze o idei utworzenia narodowo-radykalnej formacji: „Masoneria i »żydomasoneria« to były w pojęciu twórców ONR przestarzałe straszaki. Utrudniało to rozpoznawanie własnych, wewnątrz narodu tkwiących niedorozwojów. Dokonywanie oceny życia gospodarczego w ramach antysemityzmu było zbyt wielkim uproszczeniem. Problemy gospodarcze stanowiły z resztą w

starej ideologii ruchu narodowego słaby punkt. Trzeba było wyszukać dróg do »Nowego Ładu«.”[3]

W zasadzie niewiele się zmieniło, z tym tylko, że dziś miejsce Żydów i masonów zajmują „uchodźcy” – znów jako czynnik zewnętrzny. Gdy zaczynają dominować w świadomości samych nacjonalistów wypierając stricte polskie problemy, to znak że coś jest nie tak. Dziś część „narodowych” mediów mogłaby z powodzeniem przyjąć nazwę „Nie dla islamizacji Europy 2.0”. Sprzeciw wobec imigracji staje się sztandarowym punktem programu politycznego – trudno stwierdzić, czy wynika to z potrzeby chwili (kryzys migracyjny, zamachy), czy najzwyczajniej – z braku innych pomysłów. A może jedno i drugie? Inspiracji do działania „dla dobra narodu” wcale nie trzeba szukać w Kolonii, czy Marsylii. Wystarczy odejść od monitora i wyjść do ludzi.

Marta Niemczyk

[1] Termin tłumaczony jako „wzrost niepewności pracy”, prowadzący do wykształcenia się nowej klasy społecznej, prekariatu (od łac. słowa precarius – uproszony, zdany na łaskę) – osób zatrudnionych na podstawie elastycznych form zatrudnienia, pracujących na stanowiskach poniżej swojego wykształcenia, często bez zabezpieczeń społecznych.

[2]<http://narodowcy.net/swiat/polki-czuja-sie-bezpieczne> (dostęp 13.08.2016)

[3] Rutkowska-Kurcysz M., Kamyki Dawida. Wspomnienia, Wydawnictwo Unia, Katowice 2005, s. 51

„O ducha krucjaty!”

Zalew imigrantów z krajów muzułmańskich spowodował, że coraz więcej mówi się ostatecznie o potrzebie obrony cywilizacji białego człowieka. Zastanawiając się czym tak naprawdę nasza cywilizacja jest, nie można pominąć katolicyzmu, który zbudował Europę. Jakkolwiek próba obrony Europy bez wiary katolickiej przypomina chęć budowania Wielkiej Polski bez Poznania, Krakowa, Warszawy i z językiem niemieckim zamiast polskiego, trudno coś takiego traktować poważnie, a jednak często takie pomysły się pojawiają.

Krucjata nie może oznaczać tępej nienawiści do islamu. Prymitywne przyśpiewki o „oli islam” to nie obrona naszej cywilizacji, a zwyczajna głupota i prostactwo. Kojarzenie muzułmanów z zamiłowaniem do zwierząt gospodarskich, gwałtami i myśleniem tylko o zasiłkach jest zwyczajnie prymitywne. Islam to Persja, Imperium Osmańskie, a dzisiaj Hamas, Hezbollah, Syryjska Armia Arabska i Iran, które zdecydowanie zasługują na szacunek. Muzułmanami są także mieszkający w Polsce od setek lat Tatarzy. Świat arabski został zdestabilizowany przez bandycką politykę Zachodu, zwłaszcza państwa będącego ojczyzną wielu patologicznych trendów niszczących Europę, na czele którego może niedługo stanąć pewien znany ze specyficznych wypowiedzi miliarder. Napływ imigrantów, który pierwotnie był spowodowany zapotrzebowaniem na tanią siłę roboczą przybrał formę fali tak zwanych „uchodźców”, których Zachód w samobójczym odruchu postanowił przyjmować. Winę za obecny kryzys ponoszą po równo Amerykanie i ich wasale wywołujący kolejne wojny i tworzący jedynie chaos i nienawiść oraz główni odpowiedzialni za wpuszczanie mas imigrantów do Europy.

Jednak to nie muzułmanie są największym problemem Europy. Stary kontynent zniszczyła ateizacja i wynikająca z niej degrengolada moralna. Hedonizm, konsumpcjonizm, rozbicie tradycyjnych więzi społecznych, aborcja, pedałstwo to tylko niektóre z chorób zabijających naszą cywilizację. Wszystkie one wynikają z odrzucenia Boga, odejścia od systemu prawdziwych wartości. Umierająca Europa zderza się z młodym, żywym światem islamu i tę walkę przegrywa. Kiedyś nasz kontynent można było porównać do Witalija Kliczki w szczytowej formie, obecnie przypomina on raczej starego ćpuna trawionego AIDS, umierającego na własne życzenie, codziennie aplikującego sobie nowe dawki trucizny, a muszającego stoczyć pojedynek z silnym, zdrowym przeciwnikiem. Muzułmanie nie muszą zmagać się z plagą pedałstwa, konsumpcjonizmu, jaranja zielska, nihilizmu, nie zabijają swoich nienarodzonych dzieci. Świat islamu to świat wolny od raka ateizmu i liberalizmu.

Krucjata musi zacząć się od autentycznego odrodzenia religijnego. Sukces islamu wynika w dużej mierze z przywiązania muzułmanów do tradycji i twardej religijności. Wielu Europejczyków szukając prawdy, zostaje muzułmanami. Tymczasem zateizowana i odcięta od katolickich korzeni Europa umiera na własne życzenie. Zabija nas ateizm i odejście od twardego rzymskiego katolicyzmu, który zbudował naszą cywilizację.

Ateiści i rodzimowiercy często zarzucają katolikom pacyfizm, sugerując, że jest to religia dla słabych, wręcz hipisów. Takie tezy są oczywiście równie prawdziwe jak twierdzenie o płaskiej Ziemi i wynikają z uprzedzeń i braku podstawowego zrozumienia katolicyzmu. Mówimy o religii krucjat, Świętej Inkwizycji, zwycięzców spod Wiednia i Lepanto, w nowszych czasach meksykańskich Cristeros, bohaterów Hiszpanii czy św. Maksymiliana. Religii, która zdobyła świat, za którą przez dwa tysiąclecia ludzie nie wahali się oddać życia, co jest czynem najtrudniejszym. Katolicyzm to również najdoskonalszy system moralny, system miłości bliźniego, miłości prawdziwej oznaczającej nienawiść do grzechu. Przede wszystkim to jednak religia posiadająca Prawdę, objawiona przez samego Boga.

Zdaję sobie sprawę z przemian, które zaszły po II Soborze Watykańskim, jak również z tego, że obecnie powszechne jest pojmowanie katolicyzmu w sposób hipisowski, brak piętnowania zła i wycofywanie religii do strefy prywatnej. Jednak większy stopień trudności zadania nie zwalnia

nikogo z obowiązku zrobienia wszystkiego, żeby je wykonać.

Religia to taka sfera życia, w której nie ma miejsca na umiarkowanie i kompromisy. Być katolikiem, znaczy być nim naprawdę, Chrystus oddał życie dla naszego zbawienia! Sam Bóg został człowiekiem i pozwolił się dla nas ukrzyżować! Jeżeli dzisiaj katolik ma problem, żeby iść w niedzielę do kościoła, a w piątek potrzebuje imprezy i schabowego, to powinien wziąć ciężki młotek i wałnąć się nim w łeb. Obowiązkiem katolika jest robić wszystko, żeby być prawdziwym fanatykiem. Naszym wrogiem jest lenistwo, konsumpcjonizm, relatywizm moralny. Dbając o swoją duchowość, powinniśmy sięgnąć po modlitwę różańcową, nowennę pompejańską, uczestniczyć w pielgrzymkach czy nocnych, liczących kilkadziesiąt kilometrów, drogach krzyżowych, korzystać z tego co twarde, kształtujące charakter, a jednocześnie duchowo piękne. Oczywiście nie można zapominać o regularnej spowiedzi i uczestnictwie we Mszy Świętej, polecam zwłaszcza powrót do Tradycji i rytu trydenckiego.

Módl się tak jakby wszystko zależało od Boga, ale pracuj tak jakby wszystko zależało od ciebie. Naszym zadaniem jest walka o autentyczne odrodzenie religijne całego narodu, walka z konsumpcjonizmem, prowadzenie jak największej ilości zajęć sportowych i szkoleń obronnych. Krucjata wymaga wucht ciężkiej pracy społecznej, zmiany patologicznego sposobu myślenia rodem z Zachodu, a zwłaszcza USA. Musimy zrobić wszystko, aby mieć społeczeństwo gotowe do obrony przed inwazją, którą Europa sama na siebie ściągnęła.

Zachód powoli przyzwyczaja się do zamachów, imigranci i ich potomkowie nie mają zamiaru przystosowywać się do warunków lewackiej degeneracji, multikulti i pedalstwa, oni są o wiele zdrowsi i silniejsi, to Zachód ma się dostosować. Zdegenerowane społeczeństwa, jeżeli można jeszcze tego słowa w ogóle używać w stosunku do mieszkańców Francji czy Niemiec, są niezdolne do jakiegokolwiek obrony. Trzeba być naiwnym, żeby twierdzić, że Polskę fala muzułmańskiej imigracji ominie, jeszcze większej naiwności trzeba by wierzyć w pokojowe współistnienie tak różnych kultur. Wojna, którą Zachód przegrywa na każdym froncie prędzej czy później dotrze także do nas, pytanie czy będziemy silnym katolickim narodem, gotowym do obrony naszej cywilizacji, czy śmierdzącym rozkładającym się ateistyczno-liberalnym trupem. Obóz świętych Raspaila stanowi opis klęski Europy zdegenerowanej, która najpierw bardzo chciała przyjąć milion „uchodźców”, a następnie w ciągu 3 dni upadła bez walki. Francuski pisarz ponad 40 lat temu opisał to, co dzieje się na naszych oczach, ale możemy jeszcze powstrzymać ten proces.

Krucjata jest konieczna! Ale żeby była autentyczna i zwycięska, musi być zapoczątkowana autentycznym odrodzeniem religijnym! Musi być skierowana przede wszystkim przeciw największemu wrogowi - ateistyczno-liberalnej karykaturze społeczeństwa, stworzonej przez Zachód, dopiero na kolejnym miejscu znajduje się muzułmańska inwazja. Obrona zateizowanej, hedonistycznej karykatury Europy nie jest warta nawet kiwnięcia palcem.

Tomasz Dryjański

„Zadnej asymilacji!”

Wśród przeciwników przyjmowania przez Polskę i inne państwa europejskie imigrantów z muzułmańskiego kręgu kulturowego bardzo często można spotkać się z wyrażanym explicite lub domyślnym argumentem, jakoby nie umieli oni bądź nie chcieli asymilować się z europejskimi społeczeństwami i przyjmować tak zwanych europejskich wartości (mniejsza o to, jak rozumianych) i wzorców zachowań. Taką argumentację przedstawiają poważni i czytani publicyści pocziwej prawicy systemowej i konserwatywni liberałowie, tak też brzmi głos rozemocjonowanych kolejnym zamachem i nagraniem dokumentującym wybryki imigrantów "zwykłych ludzi". Cały problem miałby właściwie zaczynać się i kończyć na fakcie, objawiającej się często w agresywny sposób, nieprzystawalności sposobu życia przybyszów do norm panujących w społeczeństwach, które ich przyjmują. Gdyby nie to – zdają się myśleć przedstawiciele wspomnianych wyżej grup – wszystko byłoby w porządku. W zasadzie nie mieliby oni nic przeciwko imigrantom... gdyby tylko nie skupiali się w pełnych przestępczości gettach, nie żenili się z czternastoletnimi kuzynkami, nie mordowali przechodniów i nie zaczepiali młodych dziewczyn na basenach; gdyby garnęli się do uczciwej pracy, dbali o edukację swoich dzieci i gdyby zachowywali się w przewidywalny dla nas sposób. Gdyby czegoś nie robili i gdyby coś zaczęli robić. Gdyby przynajmniej starali się stawać takimi jak my. A jeśli nie, to niech chociaż uznają prymat naszych praw i przyzwyczajęń nad własnymi i nie podważają ich. Z tego zresztą powodu – oprócz, rzecz jasna, faktycznej i medialnej aktualności i nośności zjawiska – ich sprzeciw skupia się na zasiedlaniu Europy właśnie przez ludność muzułmańską.

W środowisku osób odwołujących się w mniejszym czy większym stopniu do postaw i wartości nacjonalistycznych takie podejście do problemu również nie jest rzadkością. W polskim internecie z zenującymi już na poziomie ortografii i gramatyki, o treści nie wspominając, wyrazami bezrozumnej i ślepej frustracji przeplatają się raz po raz przywoływane przykłady "swoich" obcych, grup i postaci "skutecznie zintegrowanych z narodem polskim". Mam wrażenie, że to trend obecny szczególnie w łonie nacjonalizmu sprowadzonego do memów i demotywatorów. Co rusz można natrafić na stwierdzenia utrzymane w tonie: "jeśli ktoś chce tu uczciwie pracować i poczuwa się do wspólnoty, to...", okraszone garścią informacji o Auguście Ogboli O'Brownie, generale Jabłonowskim czy zdjęciem polskich Tatarów. Kto w końcu nie lubi egzotycznych i sympatycznych "Polaków lepszych niż niejeden rodowity"? Takie uproszczone zapewnienia o inkluzywnym charakterze własnego patriotyzmu biorą się być może częściowo z chęci uniknięcia oskarżeń o rasizm i szowinizm, mogą też być całkowicie spontaniczne i szczerze, w każdym razie mają się nieźle. Niejako na zasadzie lustrzanego odbicia, wypowiadający się na temat imigracji sympatycy i zwolennicy idei narodowych lubią powoływać się na fakt, że w przypadku szturmujących dziś Stary Kontynent imigrantów muzułmańskich asymilacja i integracja z narodami europejskimi jest niezbyt prawdopodobna lub niemożliwa. To jeden ze sztandarowych elementów antyimigranckiej, a ściślej antyislamskiej retoryki i osoby politycznie zorientowane bardziej radykalnie niż większość przeciwników przyjmowania imigrantów nie są tu wyjątkiem.

Argument ten ma zatem swoje ważne miejsce w społecznym sprzeciwie wobec wpuszczania przez europejskie rządy imigrantów z Afryki Północnej, Magrebu czy Bliskiego Wschodu. Stanowi dla wielu osób motywację do czynnego zaangażowania w ów sprzeciw, ponadto jest zwyczajnie prawdziwy. Sęk w tym, że właśnie w swojej prawdziwości nie jest słuszny. A przynajmniej nie jest słuszny z narodowo-radykalnego punktu widzenia.

Problem imigracji – i wcale nie chodzi tu tylko o obecny "kryzys" – jest najistotniejszym, największym wyzwaniem i zagrożeniem, przed jakim stoi teraz Europa, i to na wielu płaszczyznach. W sposób najbardziej jaskrawy zagrożenie to uwidacznia się oczywiście gdy zagrożone jest fizyczne bezpieczeństwo i "święty spokój" rdzennych Europejczyków. Agresja jest jednak zagrożeniem w swoich przejawach i skutkach dość prostym, i choć oczywiście brak imigrantów zmniejszyłby jej skalę i odciążył odpowiednie organy, to doraźne i analogicznie

nieskomplikowane środki są na ogół wystarczającym remedium. Brak zdecydowania, nieudolność i paraliżujący wpływ poprawności politycznej na ich stosowanie to zupełnie inna kwestia. Pozytywnym skutkiem ubocznym imigranckich napaści może być zresztą, i jest, ozdrowieńczy trend odradzania się ducha bojowego wśród młodych przedstawicieli narodów europejskich.

Również przypadki bezczelnego, otwartego forsowania (przy współdziale lub bierności władz) własnych przyzwyczajzeń stojących w sprzeczności z europejskim sposobem życia nie są jeszcze najgorszym, co przynosi ze sobą imigracja. I tu bowiem wyrazistość zjawiska i jego łatwo odczuwalna dokuczliwość mogą być czynnikami wzmagającymi reakcje obronne. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że w wielu wypadkach natarczywe domaganie się przez przybywających spoza Europy muzułmanów respektowania przez nieislamską większość zasad ich religii i lokalnych tradycji prowadzi do konfliktów na poziomie korzystania z drogiego europejskim sercom konkretnych uroków życia, jak alkohol czy imprezy muzyczne lub poczucia estetyki, jak w przypadku strojów kobiet na plaży, nie zaś na poziomie wyższych, bardziej abstrakcyjnych wartości.

Najbardziej doniosłe i sięgające najgłębiej szkody wynikające z napływu imigrantów Stary Kontynent poniesie najprawdopodobniej poprzez niezbyt spektakularne, subtelne wręcz, zachodzące powoli procesy. Procesy być może niezauważalne nawet dla samych imigrantów, a tym bardziej dla rodowitych Europejczyków, a co za tym idzie znacznie trudniejsze do przezwyciężenia.

Asymilacja czy choćby integracja jakiegokolwiek grupy odmiennej etnicznie i kulturowo bodaj nigdy nie zachodzi wyłącznie w jednym kierunku. Owszem, końcowy rozkład akcentów daje zazwyczaj przewagę wchłaniającej większości, jednak wraz z wtapieniem się w ogół społeczeństwa asymilowani zawsze wnoszą własny wkład i odciskają na nowej całości własne, mniej lub bardziej widoczne, piętno. To normalne, właściwe procesom asymilacyjnym zjawisko, nie zaś świadectwo ich niepowodzenia. Nie da się przecież zanegować udanej polonizacji mas ludności pochodzenia niemieckiego napływającej przez wieki na nasze ziemie, tak samo jednak nie można zaprzeczyć niemieckiej etymologii wielu polskich słów, dziś już dla nas nawet niewyczuwalnej. Podobnie niezaprzeczalny jest choćby wpływ, jaki czarnoskóra ludność pochodząca z terenów byłego imperium kolonialnego Wielkiej Brytanii wywarła swego czasu na brytyjską kulturę młodzieżową, choć nie sposób podważać przecież fakt, że gros potomków zasiedziały od pokoleń na Wyspach murzyńskich rodzin było i jest całkowicie zintegrowanych z tamtejszym społeczeństwem, poczuwając się wręcz wyłącznie do brytyjskiej tożsamości. W toku asymilacji taka absorpcja obcych, nowych zjawisk przez kulturę przyjmującą wydaje się dodatkowo ułatwiona, ponieważ kontakty z nowymi współplemieńcami stają się częstsze i głębsze, stopniowo zanika też wzajemna nieufność.

Ktoś mógłby całkiem zasadnie zastanawiać się, co złego może być w tym, że wielką tkaninę poszczególnych narodowych kultur czy nawet całej cywilizacji europejskiej miałyby wzbogacić nowe, nieznanne dotąd wątki, jak miało to wielokrotnie miejsce w przeszłości.

Pominąwszy prosty fakt, że wiele z owych udanych i korzystnych przykładów asymilacji i kulturowej wymiany zachodziło między pokrewnymi sobie nacjami europejskimi, przede wszystkim należy zwrócić uwagę na dość oczywiste różnice skali. Dawne osadnictwo obcych grup przybierało zazwyczaj rozmiary na tyle niewielkie, by ich wkład w przekształcenia kulturowe istotnie pozostawał raczej ciekawym dodatkiem. Od kilkadziesiąt lat jednak mamy do czynienia z imigracją tak zmasowaną, że, nawet bez żadnych specjalnych zamiarów i intencjonalnych działań w tym kierunku z ich strony, obecność nowych przybyszów może przeobrazić zastany kulturowy krajobraz w stopniu podważającym dotychczasową ciągłość i zmienić Europę w sposób fundamentalny, a nie drugorzędny. Siła przebiccia kulturowych nowości, które ze sobą przynoszą jest proporcjonalnie większa z tego prostego względu, że ich samych jest nieporównywalnie więcej. Jest to paradoksalnie, jak zostało już powiedziane, prawdopodobne tym bardziej, im bardziej ludzie ci będą wtapiać się w cywilizację europejską, im bardziej będą stawali się "nasi". A nie należy zapominać też, że świat wartości i wzorców kulturowych, tak jak przyroda, nie znosi próżni. Gdy

imigranci z często buńczucznie nastawionych obcych staną się ułagodzoną, przyswojoną i spowszedniałą częścią codzienności, rdzenni Europejczycy, na własne życzenie wyzuci w dużej mierze z własnych, starych tradycji i wartości, będą jeszcze bardziej chłonni na obce wzorce.

Odrębną kwestię stanowi, kolokwialnie rzecz ujmując, "zapotrzebowanie" cywilizacji europejskiej i narodowych kultur europejskich na nowe, obce wpływy w dzisiejszej dobie. Wobec postępującej na całym świecie erozji tego, co rodzime, tradycyjne i lokalne, "otwartość na inne" czy "odwaga przyjmowania nieznanego" są chyba ostatnim, o co powinny się troszczyć narody świata, nie tylko te ze Starego Kontynentu. Europa nie potrzebuje dziś ubogaceń (i mam tu na myśli, rzecz jasna, te prawdziwe, nie zaś to, co "ubogaceniem" nazywa się z gorzką ironią); Europa potrzebuje, jak nigdy wcześniej, ponownego odkrycia i twórczego rozwinięcia swojego własnego dziedzictwa, przy czym nie musi, i być może nie powinien, być to proces strywalizowany przez zawężenie go do "powrotu do chrześcijańskich fundamentów". Tu zresztą docieramy do osobnego zagadnienia: Europa dorobiła się przez stulecia – owszem, również dzięki ożywcemu w swoim czasie czerpaniu z obcych wpływów - tak wielkiej mnogości w zakresie zwyczajów oraz, co ważniejsze, wartości i tradycji duchowo-intelektualnych (czasami wręcz sprzecznych między sobą), że w którymkolwiek kierunku miałyby pójść dokonywana przez nią redefinicja samej siebie, może w sposób wystarczający i owocny czerpać z własnych, zakorzenionych dobrze w jej historii i kulturze, doświadczeń. Nie musi to być wcale stan permanenty, jednak nie wydaje się, żeby dzisiaj zaszczepienie przez zasymilowanych imigrantów jakiegokolwiek obcego nam zjawiska kulturowego, choćby nawet samego w sobie godnego szacunku, mogło wnieść jakąś istotnie przydatną i prawdziwie wzbogacającą jakość. Potrzebą chwili jest dzisiaj zdecydowanie bardziej kulturowy ruch "wgląd" niż na zewnątrz, tym bardziej, że zwykła wymiana informacji czy praktycznej wiedzy naukowej i technologicznej nie musi się już wiązać z migracjami.

Ci, którzy, chcąc bronić Europy i tego, co jest im w niej drogie, za jedną z możliwych strategii uważają "wchłonięcie" egzotycznych przybyszów i sprawienie by, ku rzekomej obopólnej korzyści, dopasowali się do naszych oczekiwań i upodobnili do nas, popełniają jeszcze jeden błąd. Otóż zdają się nie dostrzegać, że właśnie przy pełnym powodzeniu takiego projektu w Europie siłą rzeczy będą musiały zajść ewidentne zmiany nie tylko kulturowe, ale i etniczne. Przy wszelkim możliwym zaklinaniu rzeczywistości i dbałości o to, by nie urazić co bardziej wyczulonych na tym punkcie wrażliwych dusz, nie da się obejść faktu, że w skali całych ludów i narodów czynnik genetyczny, czy też prościej "krew", nie jest i nigdy nie będzie pozbawiony znaczenia, przynajmniej nie w odniesieniu do narodów, które formalnie odwołują się do sięgającej daleko wstecz wspólnoty losów i pochodzenia. Tak, całkowita czystość etniczna czy rasowa to mit i rozpaczanie z tego powodu nie ma większego sensu. Z drugiej strony jednak nie, nie jesteśmy, my, Polacy, Szwedzi, Irlandczycy, Rumuni czy jakakolwiek inna europejska nacja li tylko "związkami kulturowymi", luźnymi stowarzyszeniami osób o podobnych przyzwyczajeniach i zachowaniach bez oparcia w żadnym namacalnym, biologicznym trzonie. Nie trzeba chyba śnić o urzędowych akcjach pomiarów czaszek lokalnych populacji żeby skonstatować, na przykład, że zawartość japońskości w narodzie japońskim uległaby bądź co bądź zachwianiu, gdyby w owej szlachetnej nacji na skutek "udanej integracji obcych z większością" spora liczba dzieci zaczęła coraz mniej przypominać samurajów, a coraz bardziej... wikingów. Nie ma zatem potrzeby udawać, że Europa mogłaby pozostać zasadniczo taką, jaką ją znamy i cenimy, gdyby jej narody w wymiarze etnicznym i genetycznym uległy zmianom daleko większym niż kosmetyczne, a takie właśnie musiałyby one być, jeśli wziąć pod uwagę, powtórzmy, skalę dzisiejszej imigracji. Nie mogłaby, ponieważ jej nieodłączną, niezbywalną częścią jesteśmy właśnie my i to właśnie tacy, jacy zgrubsza jesteśmy od stuleci, nie tylko duchowo i kulturowo, ale i genetycznie. By odwołać się do języka literatury, u Szekspira róża pod inną nazwą pachnie wprawdzie tak samo, ale inny kwiat noszący jej nazwę – nie.

Udana asymilacja imigrantów, przede wszystkim muzułmańskich ale i innych, mogłaby, owszem, oszczędzić Europie wiele bólu i codziennych kłopotów. Jestem jednak zdania, że w dłuższej perspektywie ceną okazałoby się tak znaczne, tak daleko idące przekształcenie naszej cywilizacji, że doprawdy trudno byłoby twierdzić, nie urągając przy tym rzeczywistości, że udało się ją obronić.

Jakkolwiek paradoksalnie może to zabrzmieć, niechęć imigrantów do asymilowania się z europejskimi społeczeństwami z dużym prawdopodobieństwem może wyjść Europie na dobre, przynajmniej jeśli za wartość uznajemy Europę, która tworzy się na nowo wyłącznie w oparciu o swoje własne, zapomniane dzisiaj tradycje i zachowuje jako realny punkt historycznego odniesienia swoją ustaloną przed wiekami strukturę etniczną i genetyczną. Zadowolenie i satysfakcja w dniu, w którym Molenbeek stanie się miejscem, gdzie zapanuje, islamska co prawda, ale szczerą, gościnność i otwartość, a w Birmingham obchodzącym ramadan przestanie przeszkadzać sączone przez przechodnia piwo byłyby w wykonaniu europejskiego nacjonalisty świadectwem pewnego rodzaju kapitulacji.

Igor Pokora

„Pokolenie straconej szansy”

Salzburg, Austria. Z jednej strony znakomicie zachowane i zadbane stare miasto, po drugiej stronie rwącej rzeki Salzach nowoczesne budynki wcale nie psujące panoramy, wręcz przeciwnie. Nad miastem góruje jedna z najlepiej zachowanych twierdz w Europie - Hohensalzburg. W oddali majaczą alpejskie szczyty. Niemożliwym jednak jest, już od pierwszych minut w centrum miasta, nie dojrzeć grupek młodych Turków, krążących w sobie znanym celu. Gdzieś przejeżdża taksówka prowadzona przez Hindusa. Na ścianach powojennych kamienic widnieją antyfaszystowskie hasła zwieńczone „A” wpisanym w okrąg. Mieszane rasowo dzieciaki ze śmiechem głośno dyskutują, popijając piwo obok dworca kolejowego. W parku trwa festiwal muzyczny, powiewają tęcze flagi. Kobiety ubrane w burki są wszechobecne. Wszelkie antykwariaty zostały wyczyszczone z okresu mogącego budzić kontrowersje. Oto kraj, w którym głosami młodych wybory prezydenckie nieomal wygrał przedstawiciel Zielonych, skrajnej, nowoczesnej, również antynarodowej lewicy. Nieomal, bowiem wybory uznano za nieważne. W demoliberalnej Europie manipulowanie wynikami, by nie wygrał przedstawiciel prawicy nie jest wcale rzadkie...

Tymczasem w holu jednego z salzburskich hoteli siedzi w fotelu, podparty stylową, drewnianą laską, starszy mężczyzna liczący około 80 wiosen, ubrany w elegancki garnitur. Nie byłoby to nadzwyczajne, gdyby nie jeden mały element. W klapie marynarki mężczyzna miał wpięty symbol Hitlerjugend. Czyżby był jednym z ostatnich przedstawicieli pokolenia narodowego socjalizmu, którego nie dostała radykalna denazyfikacja, która wyprała cały naród z tożsamości, historii, kultury? Pozostał wierny młodzieńczemu idealizmowi do dziś, opierając się grupowemu poczuciu winy, gdy zapędzano siłą jeńców przed ekrany kin, na których wyświetlano horror Holocaustu? Ten butny nazista stoi moralnie mimo wszystko nad tym całym neoliberalnym i czerwonym ściekiem, nad wypranym z narodowości pokoleniem, nad kolorowymi kolonistami, bojówkarzami antify, kończąc na tzw. Zielonych pragnących władzy w imię swoich utopijnych wizji. Równocześnie ciąży nad nim straszliwa odpowiedzialność, idea którą za młodu wybrał doprowadziła do przegranej wojny totalnej, która wstrzymała rozwój kontynentu, pozbawiła życia miliony Europejczyków skazując ich dom na powyższe plagi, a być może nawet na zagładę...

Co więc myśli, gdy mija codziennie tablice upamiętniające jeńców z Armii Czerwonej pracujących przy budowie mostu, miejsca palenia książek autorów o sympatiach komunistycznych i pacyfistycznych przez bojówki NSDAP, oraz wcześniej wspomniane patologie? Gdy każdego tygodnia gaśnie życie ostatnich, takich jak on. Gdy ich przywódcy i twórcy ideologicznych koncepcji zdradzili i porzucili na pastwę losu uciekając, bądź pertraktując z wrogiem, oni niszczyli stalowe potwory Stalina jeden za drugim, gdy kolumny liczące tysiące żołnierzy szły, by poddać się przybyłym zza oceanu najeźdźcom, oni ostrzeliwali ostatnimi pociskami armię de facto już zwycięską. Germańscy odpowiednicy polskich małych powstańców, którzy byli równie dzielni i równie kochali swoją Ojczyznę, mimo niezrozumienia niuansów politycznych i młodzieńczej naiwności rzucali się w wir walk. Nie doczekali się zaszczytów, pomników, kultu pamięci. Jedyne grupy, które wspominają ich poświęcenie to margines, którym nierzadko pogardzają. Co myślą, gdy wpatrują się w ekrany telewizorów, a kontrolowane jakby przez dyktaturę media przedstawiają tłumy na marszach wyrażających sprzeciw wobec obcych kultur, napływających niekończącym się potokiem? Czy dostrzegają na tych marszach flagi Syjonu? Czy słyszą tłumy nie posiadające odwagi, by zaśpiewać pierwszą zwrotkę narodowego hymnu? Czy znajdą tam bliskich im ostatnich ludzi, którzy w tym całym bagnie potrafią zmienić kurs i uratować swoje państwa od zagrożeń neoliberalnej epoki? A jeśli nie, bowiem to oni byli tym pokoleniem, które mogło to zrobić, lecz decyzje dorosłych sprowadziły na Europę i ich Ojczyznę zagładę? Odarte z tożsamości i dumy narody, odrzucające dziedzictwo, zdają się już teraz podawać w wątpliwość malowany białą farbą 71 lat temu na ulicach napis: „Berlin bleibt Deutsch”. Jednak nie wszystko wydaje się stracone, tysiące ludzi na ulicach protestuje w Niemczech przeciwko etniczemu wyniszczeniu i zastąpieniu przybyszami z Bliskiego Wschodu, zaś w Austrii wielkie szanse zwycięstwa w wyborach parlamentarnych posiada prawica, mogąca ograniczyć proces cichego ludobójstwa. Czas pokaże i

czas również zabierze ze sobą pokolenie straconej szansy, bo zanim się obejrzymy nie zostanie z niego nikt.

Witold Jan Dobrowolski

17 sierpnia 2016, Salzburg, Austria.

„Lewica - jej walka o wpływy, kulturę i historię w Polsce”

Niedawno za sprawą radykalnej lewicy i usługowych jej demoliberalnych mediów miała miejsce kolejna w tym roku nagonka na środowiska narodowo-radykalne w Polsce. Przedmiotem ataku stało się tym razem zorganizowanie przez Obóz Narodowo-Radykalny piątej edycji Marszu Powstania Warszawskiego. Marszu, który miał na celu przede wszystkim upamiętnienie żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Narodowej Organizacji Wojskowej, innych formacji niepodległościowych oraz mieszkańców Warszawy, którzy przez 63 dni 1944 roku walczyli o to, czego pragnęli najbardziej – zniesienia niemieckiej okupacji i odzyskania przez Polskę niepodległości. Ciekawym jest tutaj fakt, iż dopiero po 5 latach od organizowania powstańczego marszu przez narodowych radykałów zaczęło to przeszkadzać tracącej wpływy na ulicach radykalnej lewicy. Pokłósiem tego były oświadczenia marginalnych, lewackich stowarzyszeń i partii (np. Miasto Jest Nasze, partia Razem, 11listopada.org), które na siłę próbują podkreślać „antyfaszystowski” charakter Powstania, oczywiście piętnując organizacje narodowe, dbające o upamiętnienie niepodległościowego zrywu, oraz domagając się ich delegalizacji, nasyłania policji i zaostrzania represji w imię Nowego Wspaniałego Świata. Podobny przypadek był po obchodach 82. rocznicy powstania ONR w Białymstoku, gdzie przeciwko nacjonalistom zjednoczyły się celem walki z nacjonalizmem wszystkie odnogi demoliberalnego systemu – od partii Razem po centroprawicę i, niestety, również Kościół Katolicki. Innym przypadkiem była internetowa wojna, jaką skrajna lewica przy pomocy administracji Facebooka wypowiedziała nam, banując profile, kasując liczne fanpejdże ONR, MW, Marszu Niepodległości, Ruchu Narodowego oraz innych grup.

Doskonale na tych przykładach z ostatnich kilku miesięcy widać, że radykalna lewica w Polsce zaczyna stopniowo tracić wpływy na ulicy i stąd posuwa się do różnych, niekiedy absurdalnych działań, mających na celu zamknąć nam usta i zdyskredytować w oczach polskiego społeczeństwa. Równolegle stara się przekazywać swoją, lewicową alternatywę wobec obecnego systemu. W związku z tym prowadzi swojego rodzaju walkę na dwóch frontach. Pierwszym frontem jest walka o hegemonię kulturową lewicy, czego głównym teoretykiem był przedwojenny włoski marksista, Antonio Gramsci¹. Teoria hegemonii kulturowej zakłada dominację społeczną środowiska lewicowego (w tym przypadku) w sferze kultury, może ona występować na płaszczyźnie każdych relacji, zarówno w relacjach między poszczególnymi warstwami społecznymi, jak i w stosunkach międzynarodowych. Gramsci używał pojęcia hegemonii kulturowej do analizowania stosunków klasowych, wychodził przy tym z założenia, że dominująca klasa społeczna wyznacza społeczeństwu określoną ideologię i świadomość. Władza polityczna miałaby stanowić pochodną hegemonii kulturowej, a walka polityczna musi polegać na walce z hegemoniczną kulturą rządzących oraz dążeniu do ustanowienia odmiennej hegemonii. Gramsci uważał, że warstwą społeczną, która musi wywrócić porządek do góry nogami i ustanowić nowy ład, nie może być proletariat, ale „nowa elita” złożona z intelektualistów i młodzieży². Drugą sferą walki jest marsz przez instytucje, teorię tej metody walki wyłożył w 1967 roku niemiecki wywrotowiec, działacz Socjalistycznego Związku Studentów Niemieckich, Rudi Dutschke³. Koncepcja była prosta, a w perspektywie późniejszych lat okazała się bardzo wyrafinowana i skuteczna. Prowadzona była w myśl hasła: „wywrócić cały ten sklep do góry nogami”. Podstawową jej myślą było wprowadzenie do instytucji starego systemu rewolucjonistów, którzy mieli za zadanie zniszczyć je od wewnątrz, nie od zewnątrz, ponieważ zewnętrzne ataki jedynie utrwały i wzmacniały te instytucje. Tymi instytucjami nie były formy organizacji życia społecznego, tj. banki, biura, szkoły, uczelnie czy urzędy państwowe, ale mechanizmy warunkujące zasady ludzkiej egzystencji (nauka, sztuka, kultura, religia, rodzina, małżeństwo). Przejęcie tych „instytucji” miałyby oznaczać zmianę ich funkcji społecznej, nie zaś obejmowanie stanowisk i urzędów w zorganizowanych formach życia społecznego⁴. Tę walkę na przełomie lat 60. i 70. XX wieku podjęły środowiska zachodniej Nowej Lewicy, wyciągając wnioski z nieudanej rewolty młodzieżowej 1968 roku oraz bezskutecznej walki m.in. RAF i Czerwonych Brygad przeciw instytucjom państwowym na drodze terroryzmu⁵.

Nowa tożsamość historyczna lewicy

Przez bardzo długi okres czasu interes lewicy reprezentował Sojusz Lewicy Demokratycznej (nie licząc licznych, marginalnych grup ekologicznych, anarchistów, antyfaszystów etc.), którego gremium polityków w mniejszym lub większym stopniu wywodzi się z szeregów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Partia ta rządziła naszym krajem przez 10 lat i mimo swojego lewicującego, socjaldemokratycznego charakteru, prowadziła politykę zupełnie niezgodną (jak każdy rząd) z naszym interesem narodowym. Wystarczy tu wspomnieć poparcie dla planów akcesji Polski do Unii Europejskiej, wysłanie polskich żołnierzy na „misje stabilizacyjne” do Iraku i Afganistanu czy neoliberalne reformy gospodarcze, które nie pasują zupełnie do myśli socjaldemokratycznej i lewicowej, odrzucającej kapitalizm. W sferze tożsamości historycznej gremium SLD stanowią dawni działacze partii komunistycznej, którzy starają się ocieplić swój wizerunek i swoje poglądy dostosowywać do zmienności polskiego świata politycznego.

Nową natomiast tożsamość historyczną poczęły budować nowe, składające się głównie z młodych ludzi, radykalnie lewicowe partie. Ich przykładami są chociażby partie Zmiana oraz Razem. Partia Razem, która wykuła się na polskiej scenie politycznej półtora roku temu i wystartowała w wyborach parlamentarnych, oprócz tego, że podejmuje tematykę socjalną, społeczną, mieszkaniową etc., prowadzi również własną politykę historyczną, opozycyjną wobec linii rządu Prawa i Sprawiedliwości oraz nacjonalistów. Na każdym kroku ta partia podkreśla swój antyfaszyzm, antynacjonalizm i marksizm kulturowy. Piętnuje upamiętnianie Powstania Warszawskiego, bohaterów podziemia antykomunistycznego i innych historycznych rocznic przez środowiska narodowo-radykalne, uznając te działania za zawłaszczanie historii oraz promowanie totalitarnej ideologii. Równolegle próbuje wpisywać swoją narrację historyczną w upamiętnianie tych rocznic, jej głównym elementem jest podkreślenie na siłę rzekomo antyfaszystowskiego charakteru Powstania, domaganie się rehabilitacji Dąbrowszczaków walczących w wojnie w Hiszpanii w latach 1936-1939 jako swoich „żołnierzy wyklętych” (budując tę narrację w opozycji do polskiego podziemia lat 1944-1963) bądź też próba recepcji myśli marksistowskiej na polski grunt, nawet łącząc je z historią polskiego ruchu socjalistycznego. Ponadto próbuje opierać swój światopogląd na autorytetach z lewicowo zorientowanych postaci z polskiej historii – przede wszystkim akcentując ich wrogi stosunek do nacjonalizmu i zawłaszczając tradycje m.in. PPS dla swoich partykularnych interesów politycznych.

Partia Zmiana zaś funkcjonuje i stanowi polityczny fenomen na polskiej scenie, ponieważ jest konglomeratem aktywistów od Komunistycznej Młodzieży Polski po organizację „Falanga”. Ta organizacja w sferze historycznej prezentuje marksizm i historyczny, „pomnikowy” sowietyzm, czego znakiem jest choćby upamiętnianie Dąbrowszczaków, partyzantów z GL-AL „walczących z faszyzmem” w okresie II wojny światowej, polsko-radzieckiego „braterstwa broni” przeciw Niemcom oraz nostalgiczną politykę, mającą zrehabilitować okres Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W kwestiach politycznych, dotyczących stosunku do Unii Europejskiej i NATO stoi na zupełnie przeciwnym biegunie niż partia Razem, niemniej uprawiając podobną (czy nawet analogiczną jak ta partia) politykę historyczną stoi z nią w jednej bramce. Podobnie grają marginalne, organizacyjne grupki takie jak Komsomol.pl, Komunistyczna Partia Polski, Porozumienie Socjalistyczne oraz antyfaszyści, którym bliżej jednak do nostalgicznych i „rekonstrukcyjnych” kół, niż poważnych ruchów politycznych, że nie będę wspominał o Krytyce Politycznej.

Lewica, jej salonowa i ukryta twarz

Lewica, zarówno salonowa, kawiorowa, jak i ta antysystemowa, od lat zaczyna tracić wpływy wśród polskiej młodzieży na rzecz promowania tradycyjnych Wartości, dumy narodowej, patriotyzmu, myśli narodowej oraz popularyzowania historii. Dla szeroko rozumianej prawicy jest to wartość dodatnia, bez której rosnące zainteresowanie ideą narodową nie byłoby takie jak dzisiaj jest, a może by nawet oscylowało nadal na granicy błędu statystycznego. Mimo że lewica

stopniowo przegrywa wśród młodzieżowego elektoratu w Polsce walkę o historię, kulturę i tradycję, nadal może być bardzo groźna. Zwłaszcza ta nowa, młoda generacja skrajnej lewicy reprezentowana czy przez antyfaszystów, ekologów, czy przez partię Razem, która istnieje w debacie publicznej, ponieważ pompują je demoliberalne media. Na kim zaś wzoruje się nowa lewica w swoich działaniach? Rzecz jasna, na polityce swoich towarzyszy z zachodniej Europy. Rosnącemu przywiązaniu młodych do patriotyzmu i Boga przeciwstawia coraz śmielsze postulaty wprowadzania edukacji seksualnej do szkół, indoktrynowania dzieci i młodzieży ideologią gender, postulatami organizowania lekcji, prelekcji, spotkań pogładowo-wychowawczych przez pozarządowe organizacje (tj. Amnesty International, Nigdy Więcej czy organizacje broniące praw człowieka) na temat rasizmu, feminizmu i kryzysu imigracyjnego, liberalizacji prawa dotyczącego aborcji, eutanazji i praw pederastów, ograniczenia lekcji religii w szkołach, rozdziału Kościoła od państwa oraz promowanie tzw. kultury alternatywnej, której znakomitym przykładem z dolnej półki może być Przystanek Woodstock.

Prawdziwą twarz skrajna lewica umiejętnie potrafi ukryć przed mediami akcentując jedynie to, co jest dla nich wygodne i ma na celu ukazanie ludzkiego oblicza. Zapomina natomiast lub próbuje zapomnieć o tym, co jest niewygodne, a jednak jest przypominane za pośrednictwem Internetu. Pamiętam, jak jeszcze kilka lat temu niektórzy lewicowi politycy bronili sprzedaży gadżetów zawierających wizerunki Che Guevary i sprzeciwiali się ich wycofaniu z obiegu handlowego. Kilka lat temu jakakolwiek możliwość wymiany poglądów z lewakami była z góry skazana na niepowodzenie, ponieważ logiczna argumentacja od razu była zbijana bardziej pożywnymi dla plebsu sloganami o faszyzmie, nazizmie, rasizmie i antysemityzmie, co wykluczało kogokolwiek z dyskusji, ponieważ łątka już została przypięta. Innym przykładem może być zdjęcie z pewnego obozu w Europie, na którym lider partii Razem, Adrian Zandberg, na scenie dumnie paradował w koszulce z podobizną Karola Marksa. Ten sam Zandberg, którego ideowym klakierem zaognia temperaturę wizerunek Leona Degrelle'a z czasów, gdy jeszcze nie walczył na froncie wschodnim w mundurze Waffen SS, a był liderem narodowo-katolickiego ruchu rexiów.

Dziś lewica nie może pogodzić się z tym, że radykalna część prawej strony politycznej jest dopuszczana do debaty i uzyskuje tym samym prawo do wygłaszania swoich poglądów w sferze publicznej na równorzędnych zasadach. To, co było nie do pomyślenia kilka, kilkanaście lat temu, teraz staje się powoli normą. Skutkiem tego „lewi” starają się za wszelką cenę dyskredytować każdą, nawet szlachetną inicjatywę młodej prawicy czy narodowych radykałów, w oparciu o dalsze formowanie stereotypów sprzed lat o nacjonalistach jako łysych patusach, chodzących wesoło w gładkich i flekach po ulicach jak w latach 90., skorych i do bitki, i do wypitki.

Lewica i jej współczesna tradycja

Polska lewica w zdecydowanej większości oderwała się od tradycji historycznych patriotycznej lewicy (wyjątkiem może tu być środowisko skupione wokół czasopisma „Nowy Obywatel”⁶), ponieważ mimo propagandowych zagrań i grafik nie odwołuje się w praktyce do spuścizny polskich socjalistów, tylko kopiuje wzorce z zachodniej i wschodniej Europy. Z Zachodu kopiuje się antyklerykalizm, liberalizm religijny, tolerancję religijną wobec wszystkich religii poza rzymskim katolicyzmem, walkę o prawa dewiantów seksualnych, promowanie swobody obyczajowej wśród młodzieży – jednym słowem ideologię opartą na słowach Jurka Owsiaaka „róbta, co chceta!”. Te wzorce w Polsce kopiuje umiejętnie partia Razem, mimo próby prowadzenia własnej, alternatywnej polityki historycznej, co zostało opisane powyżej. Ze Wschodu kopiuje się natomiast neosowietyzm, antyfaszyzm oraz dążność do relatywizacji okresów PRL i Związku Sowieckiego pod każdym kątem, który dla ich apologetów może być wygodnym (vide KMP, Zmiana).

Po 1989 roku lewica wielokrotnie próbowała budować swoją alternatywę wobec prawicy, liberałów i nawet wobec „jedynej prawdziwej lewicy” z SLD, skutkiem powyższego powstawał szereg mniejszych partii i organizacji lewicowych, które swój program opierały na obcych wzorcach, miast

na polskiej myśli lewicowej. Po okresie komunizmu odstręczało to Polaków od poważniejszego przyjrzenia się tej stronie sceny politycznej. Hurrarewolucjonizm, epatowanie symboliką Che Guevary, Mao Zedonga, Karola Marksa i Fidela Castro, małpowanie ekscesów zachodnich nowolewicowców, slogany o walce klas, komiczne naśladownictwo lewicy z Ameryki Łacińskiej, wiązanie światopoglądu z przynależnością do subkultur młodzieżowych (punk, weganizm, anarchiści, ekolodzy, antyfaszyści, hardcorowcy). Po latach młoda lewica obecnie próbuje łączyć polskie tradycje patriotyczne z lewicowymi kalkami z Zachodu i Ameryki Południowej, czego przykładem mogą być pompatyczne określenia partii Razem jako polskiego odpowiednika hiszpańskiej partii socjaldemokratycznej Podemos, Zmiany jako polskiej Syriza etc.

Prawdziwa twarz obrońców uciśnionych

Partia musi przyjąć strategię, priorytety i zdefiniować, co jest dla nas wrogiem. Naszymi wrogami są bieda, bezrobocie i wykluczenie społeczne. Te słowa pochodzą z ust związanej z SLD działaczki politycznej, Joanny Senyszyn. Zostały one wypowiedziane na łamach „Trybuny”. Tymczasem kilka lat temu media dotarły do informacji o tym, jak się wiodło pani Senyszyn. A wiodło się jej wcale nie najgorzej, bowiem przez cztery lata pracy w Parlamencie Europejskim zaoszczędziła ponad milion złotych, a jej majątek szacowano na ponad 4,5 miliona złotych. Rzecz jasna, jak na demoliberalnego polityka przystało, swojej części pieniędzy nie oddała na pomoc potrzebującym (posłowie nacjonalistycznego Złotego Świtu potrafili zrezygnować z wielotysięcznych diet poselskich na rzecz pensji minimalnej jako płacy za swoją pracę).

Radykalni lewicowcy z kolei sami sobie zaprzeczają ideałom, jakie głoszą na sztandarach. Hasła demokratyzmu, egalitaryzmu, poczucia wspólnotowości oraz solidaryzmu społecznego pięknie wyglądają na sztandarach, prawda natomiast jest inna. Lewica bardzo oddaliła się od swojej bazy społecznej i patrzy na społeczeństwo jedynie przez pryzmat indywidualizmu. Hasła są tak naprawdę nic nie znaczącymi frazesami, kiedy przychodzi rzeczywistość i radykalna lewica musi działać, jak bowiem głoszona przez nią walka z kapitalistycznym systemem ma się do otrzymywania tysięcy czy milionowych dotacji na „Krytykę Polityczną”, projekty alternatywne, utrzymywanie skłotów czy, przykładowo, wykupywanie sponsorowanych postów celem promowania nowej odsłony blogów bądź stron internetowych (przykład: Lewica Wolnościowa). Innym przykładem może być domaganie się przez partię Razem wprowadzenia podatku 75% od kwoty powyżej pół miliona złotych; partia otrzyma w ciągu 4 lat ponad 14 milionów złotych do partyjnego budżetu. To stało się już powodem do kampanii internautów, by ta partia sama dała przykład i się opodatkowała.

Tu warto zaznaczyć jeszcze jedną rzecz. To za rządów SLD dążenia do realizacji polityki gospodarczej w oparciu o zasady społecznej gospodarki rynkowej zastąpiono polityką monetaryzmu (zapoczątkowaną przez plan Leszka Balcerowicza), a Polska została wciągnięta coraz głębiej pod dyktando obcych stolic (misje w Iraku i Afganistanie, tajne więzienia CIA w Polsce, poparcie akcesji do UE).

Lewica – obóz obrony mniejszości kosztem potrzebujących

Środowiska lewicowe od lat prowadzą swoistą rewolucję społeczną, dzieląc społeczeństwo już nie tylko według kategorii przynależności do określonych warstw społecznych (rolnicy, biedota, klasa średnia, pracownicy, studenci, młodzież szkolna, inteligencja etc.), ale głównie według kategorii, które mogą w polskim narodzie generować jedynie konflikty i pogłębiać nierówności społeczne. Jako przykłady można podać LGBT, czyli pedałstwo wszelkiej maści, mniejszości narodowe (szczególnie Ukraińców, którzy nadal migrują do Polski i budują pozycję na polskim rynku pracy, spychając na margines potencjał polskiego pracownika), antyklerykałów i apostatów wszelkiej maści, byłych postkomunistów oraz grupki feministek, anarchistów i tak dalej. Wyżej podane warstwy zdaniem ich obrońców czują się zdominowane przez „dyktaturę ciemnogrodu i

patriarchatu”, którą w ich opinii ma być system Wartości oparty o tradycyjny model rodziny, przywiązanie do Wiary i Kościoła Katolickiego, kształcenie patriotyczne młodzieży oraz oddolną dbałość o uczciwe życie, wolne od układów, machlojek i robienia lewych interesów.

Indywidualizacja społeczeństwa, co jest bardzo charakterystyczne dla liberałów wszelkiej maści, charakteryzuje również środowiska lewicowe. Środowiska, które obok działalności społecznej prowadzą również rewolucyjną kampanię na rzecz uderzenia w podstawowe komponenty zdrowego funkcjonowania narodu, zajmują się również kampanią donosicielstwa (wiele osób mogło się przekonać o tym na własnej skórze) oraz nie potępiają polityki ulicy prowadzonej przez niektóre, bardziej radykalnie lewicowe grupy (czyt. antifa). Częstym zjawiskiem jest również pogładowa schematyczność w tymże obozie, co powoduje coraz większe zamknięcie się wewnątrz grupy, niedostrzeganie zmieniających się trendów w społeczeństwie, uwarunkowań społecznych, politycznych i ekonomicznych, a skutkiem tego jest miałość intelektualna. Każdemu kto nie podziela lewicowej (lub lewackiej) wizji świata, kto krytykuje niektóre aspekty – zwłaszcza kulturowe, religijne i obyczajowe – działalności lewicy, kto jest gorliwym katolikiem, patriotą, z automatu przypina się łatkę faszysty, homofoba, neonazisty. To charakteryzuje każdy odłam lewicy, brak tolerancji dla poglądów innych niż lewicowe. Nie muszę przytaczać przykładów, kto jest zainteresowany, to poczyta we własnym zakresie. Tu chodzi o nakreślenie pewnych schematów myślenia, które charakteryzują współczesną lewicę.

Podsumowanie

Polska lewica stopniowo traci swoje wpływy wśród młodzieży, popularna jest jedynie wśród sympatyków partii SLD, nostalgików oraz lewicujących subkultur młodzieżowych. Nie można jednak popadać w swoisty hurraoptymizm, tylko zachować pewien dystans, ponieważ obserwuje się wzrost nowej generacji środowiska lewicowego, czego wyrazistym przykładem, prezentowanym w mediach głównego nurtu, jest partia Razem. Poza nią działa szereg innych, pomniejszych partii, organizacji i związków zawodowych, które poza działalnością społeczną i związkową ingerują również w sprawy kulturowo-obyczajowe (LGBT, edukacja seksualna, liberalizacja prawa dot. aborcji, eutanazji etc.), historyczne (polityka historyczna oparta m.in. o „antyfaszizm”) i religijne polskiego narodu.

Adam Busse

Przypisy:

1 Antonio Gramsci (1891-1937) – włoski polityk, historyk, filozof i teoretyk marksizmu. W latach 1913-1915 studiował na uniwersytecie w Turynie. W latach 1913 – 1919 był zaangażowanym działaczem socjalistycznym, redagował teksty na łamach pism „Il Grido del Popolo” i „L’Ordine Nuovo”, gdzie komentował wydarzenia bieżące w włoskim ruchu socjalistycznym i skupiał uwagę na roli rad robotniczych w kształtowaniu przyszłego społeczeństwa socjalistycznego. W 1921 roku współzakładał Włoską Partię Komunistyczną, podejmował w tekstach tematykę walki z faszyzmem oraz kierunków partii komunistycznej w walce o władzę. W listopadzie 1926 roku aresztowany i skazany na 20 lat więzienia. W więzieniu spędził 10 lat, na podstawie amnestii został zwolniony w 1937 roku i w tym samym roku zmarł.

2 Ale jest nie mniej ważne i potrzebne, aby w masie inteligentkiej dokonał się historycznie uzasadniony rozłam o charakterze organicznym: aby wytworzył się, jako formacja masowa, kierunek lewicowy w nowoczesnym znaczeniu tego słowa, czyli zwrócony ku proletariatu rewolucyjnemu. – Antonio Gramsci

3 Rudi Dutschke (1940-1979), niemiecki socjalista, student socjologii na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, gdzie zapoznawał się z teorią marksizmu. Swój światopogląd oparł na koncepcjach hegemonii kulturowej i „marszu przez instytucje” Gramsciego oraz szkoły frankfurckiej. W 1965 roku był działaczem Socjalistycznego Związku Niemieckich Studentów (SDS), trzy lata później

przeżył zamach na swoje życie. SDS organizowała protesty przeciwko wojnie w Wietnamie, a po zamachach na Ohnesorga i Dutschkego radykalizowała się, co doprowadziło do powstania Rote Armee Fraktion (Fracja Czerwonej Armii – RAF). Dutschke odżegnywał się od terroryzmu uważając, że przyniesie to trwałe szkody dla ruchu studenckiego, stąd optował za „marszem przez instytucje”. W latach 1968-1971 przebywał na emigracji, w połowie lat 70. wrócił do działalności politycznej. Zmarł 24 grudnia 1979 roku w Danii na skutek ataku epilepsji podczas kąpieli i utonięcia.

4 Moim zdaniem nie ma obecnie w społeczeństwie życia publicznego, gdyż zakłada ono istnienie świadomych jednostek dysponujących umiejętnością krytycznego myślenia, będących w stanie poddawać rządzących krytycznej ocenie, sprawować nad nimi kontrolę i prowadzić prawdziwą debatę publiczną. Jeżeli istnieje jakiekolwiek życie publiczne, to nosi ono znamiona przywileju, natomiast życie publiczne kształtowane w mediach, ośrodkach manipulacji, organach codziennej produkcji i reprodukcji, de facto je likwiduje. Co do nas, to musimy za każdym razem na nowo powoływać je do życia poprzez dyskusje i działania, po to, by przeniknęło do całego społeczeństwa, do obszarów, na których nie istnieje. – Rudi Dutschke

5 Ta forma walki przyniosła efekty odwrotne niż te, na które mieliśmy nadzieję. Zamiast przyspieszyć proces przebudzenia tożsamości narodowej, wzmocniła grupę, która zaczęła terror. Odsunęliśmy się od ludzi i popadliśmy w mizantropię. Przestaliśmy ucieleśniać wolność, sprawiedliwość i solidarność, które były celami naszej walki, stając się gangiem zabójców sporadycznie odnoszących się do polityki. Wielu członków naszej grupy przeżyło osobisty upadek. Aktywiści, wobec których pojawiły się podejrzenia o zdradę, musieli zostać zabici, nawet bez dowodów winy. Grupa, która osiągnęła takie ekstremum, nie może przyczynić się do ustanowienia sprawiedliwego społeczeństwa. – Horst Mahler

6 Oprócz redakcji „Nowego Obywatela” warto zwrócić uwagę na portal Lewicowo.pl, którego celem jest propagowanie wiedzy na temat tradycji polskiej lewicy cyt. „demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej”. Twórcą koncepcji i redaktorem portalu jest wieloletni społecznik i redaktor naczelny „Nowego Obywatela”, Remigiusz Okraska.

Wybrane źródła:

J. Bartyzel, Rewolucja kulturalna Nowej Lewicy, [w:] Rewolucja genderowa, red. o. Z. Klafka, Toruń 2013.

F. Bator, Totalitarne skłonności współczesnej lewicy, „Kierunki.info.pl”, 1 sierpnia 2016 [dostęp: 4 sierpnia 2016].

Ł. Burzyński, Sierpem w socjalizm, młotem w kapitalizm, „Kierunki.info.pl”, 11 marca 2016 [dostęp: 10 sierpnia 2016].

A. Gramsci, Nowoczesny książę, przeł. B. Sieroszewska, Warszawa 2006.

A. Gramsci, Zeszyty filozoficzne, Warszawa 1991.

T. Rynkiewicz, Rewolucja nowej generacji, „Nasz Dziennik” 2009, nr 262 (3583).

W. Smólski, Lewicowi ideolodzy przejmują powstanie warszawskie, „Narodowcy.net”, 26 lipca 2016 [dostęp: 5 sierpnia 2016].

S. Tomczak, Rok 1968 w Republice Federalnej Niemiec i jego skutki, „Historia.org.pl”, 10 sierpnia 2013 [dostęp: 5 sierpnia 2016].

„Sorelowski indywidualizm drogą do doskonałości”

Georges Sorel to według mnie jedna z najbardziej intrygujących postaci XX wieku. Z pozycji marksistowskiej, której nigdy nie był jednak bezwzględnym zwolennikiem, w krótkim czasie przeszedł na pozycje nacjonalistycznej Akcji Francuskiej. Poparcie dla Charles'a Maurrasa jest szczególnie ciekawe, gdy weźmiemy pod uwagę propagowany w początkowej twórczości antypatriotyzm. Jego myśl stanowiła dość szerokie źródło inspiracji. Niech o tym świadczy chociażby fakt, że zarówno Rosja sowiecka, jak i faszystowskie Włochy zaproponowały utrzymanie jego grobu. Również dziś różne środowiska, nawet całkowicie sobie wrogie, mogą czerpać z bogatej twórczości Sorela inspiracje do dalszych rozważań. Żadne środowisko natomiast nie znajdzie u niego gotowych rozwiązań, w czym wybitnie przypomina Sorela jego uczeń Stanisław Brzozowski. Poniższy tekst nie jest precyzyjnym opisem jego koncepcji, ponieważ składa się na niego w znacznym zakresie wiele moich, naturalnie subiektywnych, spostrzeżeń zainspirowanych jednak myślą Sorela.

W twórczości Sorela można zauważyć pewną niechęć do autorytetów, obrazoburstwo i krytykę sekciarskiego podejścia zwolenników ideologii do dzieł mistrzów. Już w trakcie fascynacji marksizmem wielokrotnie punktował błędy w rozumowaniu samego Marksa, co świadczy o olbrzymiej otwartości jego umysłu, nieszablonowości i odwadze w przełamywaniu schematów. Ponadto Sorel wyrażał krytykę zjawiska, w wyniku którego sam mistrz stawał się niewolnikiem własnych wyznawców, którzy skutecznie blokowali samemu twórcy możliwość redefinicji jego poglądów. Wąska interpretacja dzieł mistrza, w której sam twórca mógłby się nie odnaleźć i bezrefleksyjnie do nich podejście, zamykała drogę własnej twórczości, czy choćby interpretacji założeń i kontestacji błędnych tez. Zamknięcie się na indywidualizm, twórczość i wymaganie ślepej wiary w dogmaty było szczególnie nie do zaakceptowania w środowisku, które wierzyło w ustawiczność postępu i jego doniosłość. W dalszej części tekstu przez indywidualizm rozumieć będę odrębność jednostki, jej podmiotowość, samodzielność, dążenie do zachowania swojej autonomii i wcielania własnych poglądów w życie, a nie antropocentryczną, egoistyczną, skrajnie liberalną teorię, według której prawa jednostki mają prymat nad dobrem państwa czy narodu. Odrzucenie drugiego rozumienia indywidualizmu z pozycji nacjonalistycznej jest rzeczą oczywistą i żeby to zrozumieć niepotrzebna jest zbyt duża ilość dobrej woli podczas czytania poniższego tekstu. Jednak żeby nie tworzyć luki, która mogłaby posłużyć niewłaściwej interpretacji, pozwoliłam sobie na doprecyzowanie.

Indywidualizm w sorelowskiej myśli ujawnia się już w samej idei strajku generalnego, stanowiącej fundament syndykalizmu rewolucyjnego. Sorel porównywał rewolucjonistów, wolnych pracowników, z żołnierzami wojen o wolność. Sorelowska droga do wyzwolenia proletariatu nie wiodła wcale poprzez całkowite podporządkowanie życia robotników organizacji kierowniczej, wręcz przeciwnie, nadawała bohaterstwu robotnika indywidualny charakter. W trakcie strajku generalnego każda jednostka miała czuć indywidualny sens wykonywanych przez siebie działań. Człowiek, wraz z zachowaną całą swoją godnością i indywidualnością, miał szansę w trakcie bitwy poprzez rozbudzony entuzjazm ujawnić swoje najgłębiej skrywane pokłady bohaterstwa, o które niezwykle trudno w sytuacji całkowitej zależności od woli dowódcy. Osoba walcząca miała nie być pionkiem bezwiednie przesuwanym po bitewnej szachownicy, ale WOLNYM człowiekiem, któremu niepotrzebny jest zewnętrzny przymus, żeby walczyć za sprawę. Ważne jest, jakie znaczenie przypisywać swojej walce będzie rewolucjonista i tym samym rola jaką odegra on w trakcie strajku generalnego, a nie tylko jego wynik. Trudno wyobrazić sobie, żeby całkowicie podporządkowani dowódcy robotnicy po skończeniu walk potrafili żyć bez władzy nad sobą. Byłoby to samo w sobie dość paradoksalne, gdyby droga do wyzwolenia wiodła przez jeszcze większe, choćby chwilowe, podporządkowanie. Trzeba więc psychikę robotników przygotowywać do samodzielności, wzbudzać w niej indywidualizm, ale nie egoizm. Strajk generalny nie przyniesie nikomu ani osobistych korzyści, ani żadnych przywilejów więc egoistyczne instynkty nie mają szansy wyrosnąć na gruncie koncepcji strajku generalnego. Robotnik przyszłości nie potrzebuje ani

dyscypliny w dzisiejszym rozumieniu tego słowa ani postawy służalczej wobec kogokolwiek, gdyż każdy robotnik uczestniczący w tym doniosłym procesie będzie przekonany o jego słuszności i o tym, że nawet jego najmniejsze osobiste uchybienie może stać się przyczyną niepowodzenia. Decyzje pojedynczej osoby zaczynają mieć w takiej sytuacji znaczenie, bo sama indywidualna osoba to znaczenie otrzymuje. Masa robotnicza nie służy tu jako narzędzie do przeprowadzenia zmian, ale jest ich świadomym uczestnikiem.

Ugrupowania te (syndykalistyczne) rzeczywiście wyobrażają sobie rewolucje jako ogromne powstanie, które nadal można definiować jako indywidualistyczne: każdy maszeruje z możliwie jak największą żarliwością, działając na własny rachunek, nie myśląc wcale o tym, aby podporządkować swoje zachowanie wielkiemu, starannie sporządzonemu projektowi całości.

Taka koncepcja strajku generalnego nie daje się pogodzić z ambicjami socjalistycznych polityków, którzy nie będą jej w stanie wykorzystać do przejęcia władzy, stąd ich niechęć do tej koncepcji. (...) Syndykaliści rewolucyjni pragną gloryfikować indywidualny wymiar życia producenta; występują zatem przeciwko interesom polityków, którzy chcieliby pokierować rewolucją tak, aby przekazać władzę nowej mniejszości. Socjalistyczni politycy, urzędnicy oskarżani byli przez Sorela o bycie spadkobiercami wojsk królewskich a nie dziedzictwa Wielkiej Rewolucji. Darzył on ich, nie tylko dlatego zresztą, szczególnie silną niechęcią. [1]

Jeszcze dosadniej pochwałę indywidualizmu Sorel wyraził na łamach książki O sztuce, religii i filozofii, gdzie pisał:

„Wiem, że wiele osób zdobywa sobie rozgłos moralistów głosząc „niebezpieczeństwo indywidualizmu”. Wyznaję, że nie mogę dojrzeć tego niebezpieczeństwa. Zdaje mi się, że głoszą je ludzie zręczni, umiejący korzystać z jednej z najpodlejszych wad naszej natury: lubimy, gdy uważa się za występki cnoty trudne do nabycia, których nie posiadamy, a których nie staramy się nabyć.”

„Ludzie zręczni”, krytykujący indywidualistów nie są niczym innym niż samymi indywidualistami właśnie. Uwidacznia się tu zjawisko podziału indywidualizmu, które bardzo celnie kilkadziesiąt lat po wydaniu cytowanego wyżej dzieła opisał pierwszy przywódca ONR, ważny ideolog narodowo-katolicki, Jan Mosdorf. Dokonał on podziału indywidualizmu na dwie odrębne formy: czynną i bierną, odrębne również ze względu na przypisywaną im wartość. [2] Zacznę od tej ostatniej, która ujawnia się właśnie wśród „ludzi zręcznych” w przytoczonym wyżej fragmencie tekstu. Osoby cierpiące na bierny rodzaj indywidualizmu nie są zazwyczaj zdolne do pracy nad sobą, nie odznaczają się ponadprzeciętnymi uzdolnieniami ani dość silną wolą, ażeby móc cokolwiek zmienić. Swój indywidualizm wyrażają wyłącznie atakowaniem wyróżniających się jednostek, indywidualistów czynnych, co jest spowodowane strachem przed poddaniem się ich woli. Eufemicznie nazwani „ludzie zręczni” są to więc po prostu ludzie mierni, którzy jednak nie mogą, przez miłość własną, pogodzić się ze stanem faktycznym. Dowartościowują się poprzez utrudnianie działania ludziom zdolniejszym, nadając temu procederowi nierzadko ideologiczną otoczkę. Równanie w dół jest zjawiskiem skrajnie szkodliwym, niestety w naszym kraju i środowisku nagminne. Wspomniany już indywidualizm czynny jest zjawiskiem zgoła innym. Jego źródło tkwi w chęci zmian, w poczuciu własnej godności i siły do walki z tym, co zepsute, a także do walki z materią w formie wykonywania pracy, do czego jeszcze wrócę. Indywidualizm wcale nie musi kłócić się ze wspólnotowością, mało tego indywidualizm może jej służyć, a nawet powinien. W idealnym przypadku, gdy sytuacja tego wymaga, jednostka powinna być w stanie całkowicie się wyzbyć w imię dobra kolektywu resztek swojej odrębności. Jednostka powinna także w codziennym życiu jak najsilniej podporządkować swoje indywidualne ambicje, zdolności, wiedzę, a także wolę wspólnocie. Im większe będą te indywidualne przymioty, a więc i odrębność, tym lepiej dana osoba przysłuży się wspólnocie. Kluczowe jest więc nadanie odpowiednich pryncypiów swojej indywidualności, a nie się jej pozbywanie.

Dalej Sorel chwalił szkołę klasyczną za to, że wznagała prąd indywidualizmu, który z kolei podtrzymywał święty zapał do wolności. Współczesne autorowi szkoły miały tego zadania nie wypełniać, co objawiało się zabijaniem ducha indywidualizmu. Ratunkiem dla tego ducha miało

być nowe wychowanie artystyczne. W następstwie czego wszyscy mieli pracować ze sztuką, co w połączeniu ze wspomnianym wychowaniem estetycznym miało rozwinąć zbawienny indywidualizm. Sama praca więc, według Sorela, miała zostać uszlachetniona, podniesiona na wyższy poziom. Miało dojść do zamiany mentalności robotniczej z rzemieślniczej na artystyczną, tym samym podwyższenia jakości, a nie tylko ilości produkcji, co jest ważnym komponentem teorii nieustannego postępu. Jednostce miały być zapewnione takie możliwości rozwoju, w których mogłyby najpełniej realizować swoje indywidualne uzdolnienia, wykorzystywać zgromadzone indywidualne składniki duszy. Musiałyby posiadać przy tym dużą samodzielność, co za tym idzie nie dopuszczalna, była istniejąca w kapitalizmie struktura produkcji. W kapitalizmie bowiem robotnik wytwarza ujednolicone produkty, zgodnie z decyzjami właściciela środków produkcji. Nie znajduje się w tej produkcji miejsce na jego indywidualne pomysły i decyzje. Wolna wola w procesie produkcji nadawałaby wykonywanej pracy korzystny artyzm, natomiast sam fakt tworzenia sztuki czynił pracę łatwiejszą do zniesienia i był „środkiem za pomocą którego robotnik ujrzy przelanie się umysłu w pracę ręczną.” [3] W myśli Sorela następuje więc zwiększenie roli przypisywanej pracy, która to rola przywołuje mi na myśl bardziej dzieła katolickich myślicieli okresu międzywojennego niż współczesnych autorowi socjalistów spod znaku materializmu i dialektyki.

Sorelowski indywidualizm jest w istocie pędem do doskonałości, którego nie powinno ograniczać społeczeństwo. Warto dodać, że nie tylko doskonałości duchowej człowieka, ale i doskonałości produkcji. Praca na rzecz doskonałości duchowej zawiera w sobie silną ideę przekształcania materii pod wpływem siły własnego rozumu. Stąd m.in. postulat uniezależnienia robotników, tym samym zniszczenia ograniczającego systemu kapitalistycznego. Sorel, w przeciwieństwie do klasycznych socjalistów, nadawał proletariatu podmiotowość, uczłowieczał go, a nie traktował jak upośledzone dziecko, które należy prowadzić za rękę przez niespokojną historię. Sorel chciał robotników uszlachetnić, ale nie poprzez włączanie im do głów burżuazyjnej formy i wartości, co czynili socjaliści parlamentarni. Sorel powinien stanowić dla nas bardzo ważne źródło inspiracji, ponieważ pokazuje najlepszą drogę wprowadzania idei w czyn. Szanuje indywidualność, podnosząc znaczenie jednostki, jednocześnie podporządkowuje jej życie idei. To podporządkowanie wynikać ma jednak z poczucia wypływającego z wnętrza człowieka, jego moralnej siły, a nie z przymusu zewnętrznego. Z jednej strony mogłoby to uchronić przed terrorem znanym nam z państw komunistycznych, a z drugiej przed rozwodnioną i niezdolną cokolwiek zmienić socjaldemokracją. Tylko takie wprowadzanie nowego ustroju, poprzez udoskonalanie wewnętrzne człowieka, może zapewnić jego trwałość.

Maria Pilarczyk

[1] Rozważania o przemocy, Sorel Georges, 1908 r.

[2] Wczoraj i jutro, Mosdorf Jan, 1938 r.

[3] O sztuce, religii i filozofii, Sorel Georges, 1913 r.

„Uniwersytet zdecentralizowany”

Aby zrealizować koncepcje przedstawione przez ich autorów w dwudziestu dwóch numerach „Szturmu”, które dotychczas się ukazały, należy przejąć jak największą liczbę ośrodków decyzyjnych, czyli dokonać podboju państwa. W jaki sposób podbić państwo? W jaki sposób organizacja, odrzucająca parlamentaryzm, może działać? W jaki sposób chce realizować swoją polityczność?

A także z drugiej strony: w jaki sposób młody człowiek może wywierać wpływ na otaczającą go rzeczywistość? W jaki sposób może wywalczać sobie możliwość realizowania własnych interesów? Choć powtarzanie o przejściu z przedmiotowości do podmiotowości w kraju, w którym od trzech dekad mówi się o transformacji więcej niż w azjatyckich, filozoficznych systemach, może budzić niesmak, to jednak mniej więcej to będzie głównym wątkiem niniejszego eseju.

Dotychczas jedyną metodą próby wywierania nacisku przez organizacje [1], jaką można wskazać empirycznie, to masowe demonstracje uliczne. Należy wskazać i docenić ich wkład w wytwarzanie pewnej kultury politycznej. Regularne pojawianie się w kręgu podobnych do siebie ludzi pozwala na zbudowanie wspólnotowości oraz pewnego pokoleniowego doświadczenia. Do jakiej grupy ludzi, którą roboczo możemy nazwać kolektywem politycznym, czyli zbiorowości ludzi będących materialnym substratem pewnego światopoglądu, idei, doktryny politycznej etc, zwrócono się? Organizacje zwróciły się do subkulturowego środowiska kibicowskich torcid. Cykliczne demonstracje uliczne były w głównej mierze ich demonstracjami, którym nadały swój własny, charakterystyczny sznyt. Zaistniały przez to fenomen, porównywany na łamach na przykład „Pressji”, do aktywności ruchów kombatanckich podczas międzywojnia.

Należy teraz zadać podstawowe pytania dotyczące takiej taktyki: jaką korzyść wyniosły z tego mirażu organizacje nacjonalistyczne? Jaki nacisk wywarły przez to na władzę? W jaki sposób mogły go wyrzucić? Organizacje nigdy nie zbliżyły się tym sposobem do wywarcia nacisku politycznego na sfery rządzące państwem. Nigdy też cykliczne demonstracje nie zbliżyły się dostatecznie do którejś z metod wchodzących w skład umownego pojęcia „uliczności”, typowych dla ochlokratycznych, egalitarnych ruchów politycznych, mogących wyrzucić nacisk (spowodować zmianę dyspozycji rządu): uczestnicy demonstracji poprzestawali na samym przejściu wyznaczonej trasy, zamiast dokonać nawet chwilowego przejścia, uspołecznienia przestrzeni publicznej – na przykład głównego placu w danym mieście, wzorem skrajnie lewicowych inicjatyw rodzaju Nuit Debout, Occupy Wall Street bądź Placu Taksim. Nigdy demonstracje nie przerodziły się w okupację budynków użyteczności publicznej, bądź inne akty quasi-politycznego sprzeciwu paraliżującego funkcjonowanie państwa, na którym organizacja dokonująca powyższych aktów, chce wyrzucić nacisk. W jeszcze bardziej radykalnym wydaniu: nigdy nie stanęły na ulicach, choćby na jeden lub dwa dni, przysłowiowe barykady.

Cykliczne zamieszki na głównych obchodach święta niepodległości oraz sporadyczne ataki na skłoty i inne centra „kultury”, wytwarzały atmosferę z jednej strony odpychającą tych, których miały odepchnąć oraz radykalizującą tych, którzy mieli zostać zradykalizowani. Powyższe zjawiska mogły posłużyć za podstawę do prowadzenia polityki strachu przez organizacje. Spalenie instalacji „Tęcza” na Placu Zbawiciela urosło do rangi symbolu. Jednak elity ruchu, który zawiązał się na bazie nowo powstałej kultury demonstracji, postanowiły wejść na drogę parlamentarnej rywalizacji politycznej z innymi partiami. Okazało się, że taki ruch ma w warunkach gry parlamentarnej marginalny wpływ na ośrodki decyzyjne, a także znikome poparcie narodu politycznego. Niedoszli europosłowie oraz kilku parlamentarzystów zachodzili w głowę dlaczego kolektywy, które były ich głównym targetem, tak przydatne do hipotetycznego, ulicznego coup d'etat, nie chcą chodzić na wybory.

Zawsze jednak w takich demonstracjach może zacząć chodzić kto inny. Ktoś kto jednocześnie będzie na tyle zdyscyplinowany, żeby stać się elektoratem w wyborach. Do kogo organizacje

zaczęły kierować swoją ofertę? Taką kolejną grupą po torcidach kibicowskich stali się robotnicy. Odwoływanie się do tego kolektywu politycznego, jest bezrefleksyjną kalką sprzed kilkudziesięciu lat. Co więcej, poczynając od maoizmu, sami marksiści zanegowali rewolucyjny potencjał robotników. Nie słyszałem nigdy o rewolucji, którą przeprowadziliby robotnicy. Robotnik był wytworem społeczeństwa masowego. Wiele przesłanek pozwala twierdzić, że ten typ społeczeństwa zanika. Oczywiście nadal istnieją robotnicy, aczkolwiek nie wykazują się odrębną świadomością, wspólnotą od na przykład ludzi zatrudnionych w usługach. Mit strajku generalnego będzie nadal jakoś promieniował, tym bardziej, że jest znacznie bardziej skuteczny od tworzenia ruchów „kombatancko”-kibicowskich, które co najwyżej będą mogły okupować trybunę na stadionie. Tworzenie własnych związków zawodowych lub dołączanie do, na przykład, „Solidarności”, generalnie nie powinno być główną metodą pozyskiwania swojego kolektywu oraz walki z władzą i o władzę.

Kolektywem, który może stać się materialnym uosobieniem ideologii reprezentowanej przez organizacje, poprzez nabranie cech polityczności, są studenci zorganizowani w uczelnie. Obecna klasa studentów, podobnie jak robotnicy, jest wytworem społeczeństwa masowego. Między tymi dwoma kolektywami istnieje wiele podobieństw. To nie przypadek, że obie grupy w XIX i XX wieku wspierały się wzajemnie, niezależnie od szerokości geograficznej, w walce o realizację swoich interesów. Jednak dziś, w przeciwieństwie do robotników, klasa studentów nie zatraciła swojego masowego charakteru. Istnieje jako pewna (swego istnienia), potencjalna grupa ludzi, o oryginalnych cechach, odróżniających ją od innych grup społecznych, do której można zwrócić się z konkretną propozycją. Ich głównymi zaletami dla ruchów antyestablishmentowych są: oddzielenie, pomimo ich formalnej pełnoletności, od powszechnych, „dorosłych” obowiązków, nadmiar wolnego czasu, znudzenie przedłużającą się edukacją, lekceważenie ze strony nauczycieli akademickich, zorganizowanie na konkretnej, ograniczonej przestrzeni, jaką są kampusy uczelni. Studenci mają także wady. Jako z natury niezdiscyplinowani, antydogmatyczni, krytyczni, złośliwi, odnoszą się jako grupa wrogo do wszystkich narracji budowanych za pomocą patosu i śmiertelnej powagi. Wszyscy wygadujący w co drugim zdaniu o systemie, idei, walce, wrogach ojczyzny i innych pustych semantycznych pojęciach, wzbudzają tylko wrogość i śmieszność.

Jak można zapobiec takiej sytuacji? Sprawić, żeby niezależnie od zapatrywań politycznych, zbudować i scementować wspólnotowość oraz w konsekwencji: poderwać do akcji w zamierzonym kierunku? Co organizacje powinny zrobić, żeby zdobyć posłuch i szacunek na uczelniach”. Po pierwsze: organizacje powinny organizować sprzeciw przeciwko neoliberalnym reformom uczelni. Jedną z niewielu form aktywności młodzieży studenckiej była „czarna procesja nauki”, która odbyła się wiosną ubiegłego roku w Warszawie, pod egidą Krytyki Politycznej, czemu towarzyszyła wymiana poglądów na łamach Dziennika Opinii i cykl debat. Kwestie socjalne, dotyczące każdego studenta, powinny pojawić się na pierwszym planie: tańsze akademiki, niższe opłaty za studia, ulgi studenckie, darmowa, wyższa edukacja.

Drugą kwestią jest nadanie celu, który zaktywizuje studentów i pozwoli im zrealizować mit wyrastający z mitu soreliańskiego strajku generalnego czyli: mit strajku studenckiego, mocno zakorzeniony we studenckiej świadomości zbiorowej. Celem jest Uniwersytet Zdecentralizowany, ustrój uczelni, wyrastający z szerokiej idei decentralizacji państwa, będący antytezą uniwersytetu neoliberalnego.

Organizacje muszą się zmienić. Zwłaszcza język jakim posługuje się propaganda i publicystyka. Te dwa obszary muszą zakończyć okres swojego dojrzewania. Gros publicystyki oraz tworzonych na jej bazie haseł, nastawiona jest chyba dzisiaj na innego odbiorcę. Brak jej elastyczności, głębi, jakości. Cały styl prezentowany przez organizacje, nadaje się do wymiany. Siermiężne postrzeganie rzeczywistości, które każe zamienić kulturę w lament, a sztukę w wieczne powtarzanie „Polska, Polska, Polska”, nie jest dobre dla uniwersytetu. Jest po prostu żałosne i nieatrakcyjne dla społeczności studenckiej. Doradzam także przed wejściem na uczelnie: porzucenie zabaw w grupy rekonstrukcyjne, groteskową, „odzież” patriotyczną, malowane orzełki, machanie białą czerwoną flagą, najlepiej jeszcze z krzyżem celtyckim, nazywanie kolejnych organizacji „komandem łowców

zdrajców ojczyzny” itp.

Uniwersytet neoliberalny

Taka uczelnia nie odróżnia się zbyt od szkoły średniej, a nawet gimnazjum. Duża liczba anonimowych, znudzonych studentów spędza określony czas (semestr akademicki) na studiowaniu pewnego określonego zagadnienia, w ramach modułu, z którego na końcu przeprowadzany jest egzamin. W następnych semestrach studenci studiuje inne zagadnienia. Nie trudno zgadnąć, że po czasie studenci zapominają albo odrzucają, jako bezwartościową, wcześniejszą wiedzę, mobilizując się jedynie w okresie egzaminów. Pojawia się w nich postawa lekceważenia otaczającego ich uniwersytetu. Czasami można poczuć się w nim jak w gimnazjum. Kontakt z kadrą akademicką jest dla przeciętnego studenta w pewnym stopniu utrudniony. Część pracowników akademickich gardzi studentami. Być może powodem tego jest to, że uniwersytet jest traktowany w neoliberalnej rzeczywistości jak każdy inny producent. Uniwersytet zawiera umowę cywilnoprawną ze studium i musi wywiązać się z uzgodnionych postanowień. Musi wyprodukować towar, który zwycięży w konkurencji z innymi towarami. Najprostszą metodą jest produkcja towaru na masową skalę. Konsument oczekuje od producenta określonego towaru: w tym przypadku wykształcenia, kwalifikacji, dyplomu i nie interesuje go nic ponadto. Bo także i dlaczego miałoby go interesować cokolwiek inne: tradycja, wspólnota, rytuał i inne wartości autoteliczne, które nie mają charakteru materialnego, których w bezpośredni sposób nie można spieniężyć. Wykładowcy gardzą studentami, a studenci gardzą wykładowcami. Pierwsi uważają drugich za nieokrzesaną horde, a tamci uważają pracowników naukowych za przeszkadzających w nabyciu określonego, pożądanego przez konsumentów towaru.

Inną przyczyną jest minimalizacja funkcji nauczania studenta przez uczelnię, a w jej miejsce postawienie funkcji badawczej. W takim układzie, w którym neoliberalne otoczenie oczekuje od uczelni wytwarzania namacalnego towaru, nauki humanistyczne są na zdecydowanie straconej pozycji w stosunku do nauk przyrodniczych. Te drugie badają, opracowują i wytwarzają znaczenie bardziej przydatne dobra. W wyścigu po granty, stypendia, inwestorów nauki humanistyczne nie mają większych szans. Konsekwencją tego jest spadek ich prestiżu, rozczarowanie wspólnoty zorganizowanej na danym wydziale (te wszystkie żarty, które pewnie słyszeliście, jak to „nie znajdziemy pracy nawet w fast foodzie”), a także znaczne obniżenie poziomu nauczania. Nieprzypadkowe jest także, jako skutek i jednocześnie przyczyna, opanowanie wydziałów filologicznych, psychologicznych, nauk społecznych oraz częściowo prawa przez pseudonaukę jaką jest tak zwany dzenderym.

Uczelnie zupełnie rezygnują z tradycji i jakichkolwiek prób jej podtrzymywania. Nowe, „idące z duchem czasu „logo”, wykłady inauguruje rok akademicki nie obchodzące nikogo, juwenalia ograniczające się do spędu na koncertach, które przypominają małe Kostrzyny nad Odrą. Ubiorem studenta sygnowanym przez uniwersytet są penerskie podkoszulki albo bluzy, w miejsce jednolitego stroju czy nawet sławnych czapek studenckich. Aktywność studentów zorganizowanych w samorząd jest nacechowana egoizmem i infantylnością. Głównym celem ich istnienia są patologiczne spędy, karykatury juwenaliów. Samorząd studencki cieszy się mocno ograniczonym zainteresowaniem, a jego członkowie zajęci są głównie promowaniem samych siebie. Uniwersytety posiadają autonomię, jednak ze względu na ich feudalny charakter, jest to autonomia dla rektora i senatu. Nie jest to autonomia dla studentów. Ich obecność na uniwersytecie jest tylko smutną koniecznością. Uniwersytet jest zorganizowany na podobnych zasadach jak liberalne, demokratyczne państwo. Omnipotentne prawo pozytywne – ustawa o szkolnictwie wyższym i inne, licząca jedynie dwieście jedenaście stron, reguluje tak błahe kwestie jak sposób tworzenia i działalność studenckich kół naukowych. Wyjątkowo zabawne są zapisy, w którym wymyślony ustawodawca decyduje, że moim jedynym przedstawicielem będzie samorząd studencki. Nikt inny nie może być przedstawicielem studentów, nawet jeśli faktycznie nim jest. Nie ma miejsca na zwyczaj, nie ma miejsca na partykularne rozwiązania dla konkretnej wspólnoty.

Podsumowując: neoliberalny uniwersytet jest miejscem alienacji młodych ludzi, którzy zajęci są

ćpaniem i piciem i innymi małymi sprawami. Siedzą cicho, a potem otrzymują towar od producenta. Opis ten pewnie jest skażony zbyt dużą subiektywnością. Zapewne są miejsca odmienne od opisanych. Obraz uniwersytetu jako wspólnoty ludzkiej jest jednak w mojej ocenie negatywny. Ale to dla organizacji idealna sytuacja. Otoczona bierną, egoistyczną masą, nawet mała grupa zdeterminowanych ludzi swoim aktywizmem może zacząć przekształcać swoją najbliższą przestrzeń, wyciągając z masy jednostki. Jeśli ci się znaleźli, to znajdą się i następni. Wiele było już esejów na łamach „Szturmu”, których autorzy mówili, jak to wychowają nowego aktywistę, zrealizują plany odbudowania wspólnot międzyludzkich, a w konsekwencji całego państwa, zbudują swoje własne, nowe, lepsze elity. Wszystko to abstrakcyjne, życzeniowe projekcje, bez ujawnienia nawet najogólniejszej metody, jaka ma doprowadzić do pożądanego stanu. Niniejszy esej to mniej lub bardziej konkretna diagnoza i propozycja działań, które mogą zostać zastosowane w najbliższych miesiącach i latach, przez każdą organizację bądź grupę autonomiczną.

Uniwersytet zdecentralizowany

Tak jak państwo jest federacją gmin, tak uniwersytet zdecentralizowany jest federacją kół studenckich, korporacji, spółdzielni, stowarzyszeń. To nie oznacza, że to jedyna struktura uniwersytetu, która ma prawo istnieć w hipotetycznej przyszłości. Obok niej mogą działać uczelnie o innej strukturze. Forma uniwersytetu zdecentralizowanego jest skierowana głównie do studentów zainteresowanych studiowaniem nauk humanistycznych. Ich istotą jest konieczność pozostawienia dużej swobody i wolnego czasu pojedynczemu studentowi. Oczywiście, jednocześnie musi być to osoba na takim poziomie, że nie zmarnuje tego czasu, tak jak ma to dzisiaj miejsce na bardziej swobodnych kierunkach.

Podstawową formą studiowania na takiej uczelni są formalne i nieformalne spotkania zamkniętych, ograniczonych wspólnot, które organizują się na zasadach tożsamości zainteresowań, bądź wyboru tej samej drogi życiowej. Do takich wspólnot nie można się zapisać, można zostać do nich zaproszonym i przyjętym. Ze względu na swój kolektywny, wspólnotowy charakter, antyegalitarność, elitaryzm, położenie nacisku na współdziałanie, wierność i solidaryzm z drugim studentem, zachowanie rytuału i tradycji, takie wspólnoty są a priori tradycyjne, konserwatywne, prawicowe.

Granica ingerencji państwa w taki uniwersytet jest możliwość przeprowadzenia egzaminu, a w konsekwencji: uznanie tytułu naukowego i kwalifikacji nabytych przez studenta, podczas takiego sposobu studiowania. Konieczne do tego jest także wyłączenie studentów spod jurysdykcji państwowych sądów. Jak można łatwo się domyślić, państwo demokratyczne jest naturalnym wrogiem uniwersytetu zdecentralizowanego. W takim ustroju nigdy nie zrealizuje się ta koncepcja. Powyżej opisałem teorię, cel do którego można dążyć. Jakie kroki można podjąć na chwilę obecną, aby przybliżyć się do niego?

Strajk studencki, w myśl ustawy o szkolnictwie wyższym jest niezwykle trudny do przeprowadzenia: ogłosić go może tylko samorząd całej uczelni lub stowarzyszenie ogólnopolskie zrzeszające wyłącznie studentów. Jest nim na przykład Niezależne Zrzeszenie Studentów, którego głównym zajęciem obecnie jest promowanie krwiodawstwa oraz wakacyjnych obozów integracyjnych.

Na wiosnę do zawiązania komitetu strajkowego doszło na Politechnice Częstochowskiej, w proteście przeciwko nieprawidłowościom przy wyborze nowego rektora. Do strajku jednak nie doszło. Nic dziwnego. Wątpię, czy zwykły student chciałby wysilać się dla takiego burżuazyjnego i formalistycznego problemu.

Co innego gdyby taki komitet żądałby obniżenia cen akademików, opłat za studia lub innych ulg. Rysuje się tutaj szerokie pole dla organizacji, które zdobyły pewne doświadczenie w takich akcjach, zwłaszcza podczas masowych demonstracji patriotycznych. Teraz powinny powoływać organizacje studenckie, nawet formalnie ze sobą niepołączone, z neutralnymi nazwami, wyzbytymi z cech przekreślonej subkultury. Na razie takimi są: odradzające się po '89 korporacje akademickie oraz

Niezależne Stronnictwo Akademickie. Aktywna działalność promocyjna, zwłaszcza, przy pustce, bierności i miałości innych organizacji studenckich, w krótkim czasie powinna wytworzyć kapitał, który zaprocentuje w konfrontacji z władzami.

Tak wygląda teoria. Na ile okaże się słuszna, czas i ludzie pokażą. Organizacje mogą zdobyć dostęp do wielkiej masy młodych ludzi, znudzonych, mających dużo wolnego czasu, poszukujących swojej własnej drogi życiowej i samorealizacji, a także przygód i pięknego życia, którzy dziś są brutalnie traktowani przez współczesne demokracje, liberalizmy i kapitalizmy. Te systemy tłamszą ich, ograniczają, odbierają im marzenia, sprowadzając ich do roli popychadeł i prekariuszy. Studenci oraz młodzi absolwenci są znacznie lepszym od kibiców i robotników, potencjalnym kolektywem politycznym, o rewolucyjnym potencjale.

Przejęcie rządu dusz na uniwersytetach, przejęcie ich zasobów, będzie nie tylko powrotem, w dobrym w tego słowa znaczeniu, do przedwojennych tradycji ale także pierwszym krokiem do przejęcia całości władzy w państwie.

Karol Oknab

1 *Organizacje* – często zmieniają nazwy, liderów, rozpadają się, dlatego nie widzę sensu wyróżniać jakiejś konkretnie.

„Regres w katolickiej duchowości”

Jeszcze pół wieku temu nie byłoby człowieka polemizującego z tezą, że Europa jest światowym centrum religii katolickiej. Dzisiaj nie jest to już pojęcie oczywiste. Mimo że od dłuższego czasu obserwujemy o wiele szybszy rozwój Kościoła w Afryce i Ameryce Południowej (czego przyczyną był jednak postępujący i niezakończony po dziś dzień proces nawracania ludności miejscowej), to dzisiaj można pokusić się o stwierdzenie, że serce katolicyzmu nie bije już na starym kontynencie. Liczby powołań, zarówno kapłańskich jak i zakonnych znajdują się obecnie na równi pochyłej. Europejski Kościół zdaje się być także całkowicie ślepy na problemy współczesnego świata. Ze świecą szukać hierarchy, który otwarcie skrytykowałby islamizację, czy masową imigrację, a kardynałów, którzy odważają się otwarcie stanąć na straży katolickiej doktryny, można policzyć na palcach jednej ręki. Bardzo wymownym wydarzeniem było nawoływanie do odprawiania Mszy Świętej ad orientem przez prefekta Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, którym jest nie kto inny, jak czarnoskóry kard. Robert Sarah. Jednak przede wszystkim na naszym kontynencie mamy dziś do czynienia z upadkiem duchowości, gdzie od lat stała na wysokim poziomie.

Zajmując się zagadnieniem chrześcijańskiej duchowości, można wyróżnić duchowość starego i młodego Kościoła. Postawę „młodokościelną” widzimy tam, gdzie katolicyzm dopiero się rozwija, a kult polega w znacznej mierze na emocjonalności. Charakteryzuje się szybkim rozwojem i dominuje przede wszystkim w Afryce, Azji i Ameryce Południowej. Tzw. stary Kościół istnieje natomiast w krajach Europy, Ameryki Północnej i po części także Ameryki Południowej (która dała chrześcijaństwu takich obrońców tradycji jak Nicholas Gomez Davila czy Gabriel Garcia Moreno). Tam gdzie instytucje są już ukształtowane, a pozycja religii ugruntowana, duchowość jest ukierunkowana bardziej na refleksję niż na przeżywanie.

Tak przedstawiony „podział Kościoła” nie jest już jednak aktualny. Od epoki renesansu mamy do czynienia z próbami rewizji religijnego porządku świata, który zdaje się być współcześnie niemalże dokonany. Postępująca od czasu Soboru Watykańskiego Drugiego protestantyzacja Kościoła zbiera coraz większe żniwo. Jeszcze w czasie obrad soboru niemalże zablokowano ogłoszenie Marii Matką Kościoła, co jednak doszło do skutku po bezpośredniej interwencji ojca świętego, Pawła VI. Kolejnym czynnikiem w zmianie duchowości na starym kontynencie jest pentekostalizacja, czyli rozwój ruchów charyzmatycznych, zarówno katolickich, jak i protestanckich. Najwyraźniej można zaobserwować ją w krajach „młodego Kościoła”, jednak pentekostalizm staje się coraz popularniejszy także w Europie, a według niektórych badaczy stanowi on próbę stworzenia religii uniwersalnej. Zamiast refleksji, będącej oznaką głębokiej wiary, na pierwsze miejsce u młodych katolików coraz częściej wysuwa się przeżycie. Msza Święta, która powinna być traktowana jako spotkanie z żywym, cierpiącym Bogiem, coraz częściej jest degradowana do miana bratniej uczy. Chwilowe, pełne emocji przeżywanie przemija po zakończeniu uroczystości, natomiast ciche przemyślenia zostają na całe życie. Właśnie to miała wiernym do zaoferowania stara liturgia, przepelniona momentami cichej modlitwy. W nowym porządku mszalnym zostało to znaczący sposób ograniczone, co można uznać za kolejny czynnik zmian duchowości.

Coraz częściej hierarchowie godzą się na różne udziwnienia Mszy Świętej, łącznie z potępianym przez Kościół tańcem liturgicznym. Coraz częściej sami kapłani nie traktują z należytą czcią Ciała Chrystusa, a ich postawa ociera się o profanację, czego sam byłem świadkiem w jednej z niemieckich świątyń. W ogóle ostatnimi czasy można zaobserwować traktowanie Eucharystii przez wiernych z coraz większym dystansem. Jako przykład może posłużyć nam spotkanie z ojcem Bashorą na Stadionie Narodowym w 2015 roku, kiedy to wśród porwanego przez emocje tłumu

niewielu zauważyło, że celebrans wszedł na ołtarz w czasie przeistoczenia. Do coraz mniej dojrzałej duchowości dostosowane jest także nauczanie. Żeby nie urazić postępowych katolików, cenzuruje się św. Pawła, nie wspomina się o aprobachie Jezusa wobec dwóch mieczy, posiadanych przez uczniów. Podważana jest także trzecia prawda wiary głosząca, że Bóg jest sędzią sprawiedliwym, na pierwszy plan wysuwając Boże Miłosierdzie. Coraz częściej czytamy na portalach katolickich, że „piekło jest puste”. Natomiast fałszywie pojmowana wolność religijna prowadzi do zaniechania działalności misyjnej.

Po wstępnym przyjrzeniu się wszystkim problemom przedstawionym tutaj, człowiek zatroskany o losy Kościoła mógłby popaść w pesymizm, ponieważ sytuacja tej instytucji w Europie wydaje się poważna. W tym momencie należy jednak przypomnieć, że katolik ma obowiązek pozostania realistą. A nasz realizm doskonale ilustruje cytat z Ewangelii wg świętego Mateusza: „Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą”. Tym zdaniem można wyjaśnić całą historię Kościoła, jego teraźniejszość i przyszłość. Optymizm także nie jest człowiekowi wierzącemu potrzebny, ponieważ wie on, że na końcu historii nastąpi ostateczny triumf Jezusa. Natomiast sytuację w której obecnie znajduje się Kościół, można porównać do herezji ariańskiej z IV wieku po Chrystusie. Wtedy nawet wielu hierarchów przeszło na arianizm, tak jak dzisiaj wielu przechodzi na modernizm. A jednak antytrynitarze przegrali i tak samo na klęskę skazany jest modernizm. Jednocześnie wiele spraw leży w gestii ludzi dobrej woli. Każdy katolik poważnie traktujący swoją wiarę ma obowiązek kształtowania swojego otoczenia według dekalogu i katechizmu. Jak pisał współczesny amerykański konserwatysta Dinesh d'Souza, zwolennicy prawego porządku w społeczeństwie przyjaznym sobie, powinni przyjąć postawę zachowawczą, natomiast we wrogim otoczeniu należy zawsze pozostawać radykalnym.

Marek Kubiński

„Bronię patriotyzmu” czyli liberalnym dziennikarzom w odpowiedzi”

Ostatnimi czasy można poczuć się niemalże jak w okresie międzywojennym, kiedy to na każdym uniwersytecie działała Młodzież Wszechpolska, a Obóz Narodowo-Radykalny codziennie budził przerażenie jakiegoś postępowego publicysty. Szalone lata 30. wracają – przynajmniej jeśli wierzyć prasie – szczególnie w Warszawie, gdzie podobno udało się zmonopolizować nacjonalistom dyskurs na temat powstania, a także w sklepach odzieżowych, gdyż polskiej młodzieży znudził się „Che” na rzecz swojskiego Pileckiego.

No dobrze, pożartowaliśmy a teraz na poważnie.

Nigdy nie spodziewałem się, że takowy tekst popełnię, a już zwłaszcza do „Szturmu”, gdyż nie ukrywam, że traktując nasz miesięcznik jako swoistą awangardę polskiego nacjonalizmu, kuźnię idei, miejsce, gdzie można też przy okazji swobodnie skrytykować nie tylko lewaka i masona, ale także pewne błędy tkwiące w naszym środowisku, uważałem łamy tegoż czasopisma za idealne by piętnować to, co moim zdaniem w naszym ruchu jest błędne. A są nimi, między innymi, infantylizm i przesadne spłytenie idei do roli „patriotyzmu”. No i ten nieszczęsny biznes koszulkowy... No, ale tak się śmiesznie złożyło, że ostatnimi czasy tuzy polskiego dziennikarstwa na łamach przeróżnych liberalnych mediów, a już zwłaszcza liberalno-„katolickiego” „Tygodnika Powszechnego” (poświęciły na to aż DWA numery, w tym jedną okładkę!) postanowiły ponarzekać na „brunatnych” (chyba wprost pada tam takie określenie) oraz ponarzekać na to, że złe firmy odzieżowe wykorzystują symbol Polski Walczącej i to jest takie nadużycie, i takie nieestetyczne, i takie nadużycie, a w ogóle powstańcy to walczyli przeciwko nietolerancji! (No tak, w końcu jedna pani naukowiec orzekła już, że „Zośka” był gejem, więc w sumie to czemu by tak nie uznać powstania warszawskiego za zryw tęczowego miasta przeciw homofobom z SS?) I tak wczytując się w ten cały ból, żal, jad i przerażenie naszych gryzpiórków tak pomyślałem sobie, że ja im bym bardzo chętnie kilka rzeczy wyjaśnił a ponieważ stale zjawiska ochrzczone mianem „gimbo-patriotyzmu” oraz „mody na patriotyzm” spotykały się z mojej strony z pewnymi złośliwościami, to gwoli pewnej sprawiedliwości dziś stanę w ich obronie.

Otóż, pozwolę zwrócić się do was, moi liberalni przyjaciele z najróżniejszych redakcji, generalnie to ja się z wami... zgadzam. Wybaczcie mi język, niestety wzorem Szczepana Twardocha uważam, że wulgaryzmy czasem są wielkim skarbem i warto z nich skorzystać, niemniej jednak ja się z wami w stu procentach zgadzam. Faktycznie, to nie nacjonałiści powinni uczyć polską młodzież patriotyzmu. Cały problem na tym polega, że to właśnie nie my, kurwa, powinniśmy to robić, tylko przez ostatnie „25 lat wolności”, które jest według was takim osiągnięciem, nie robił tego nikt inny.

W normalnym kraju konserwatyści mówią o obronie tradycyjnych wartości, liberałowie o wolnościach obywatelskich, socjaliści organizują strajki broniąc praw pracowniczych, a nacjonałiści starają się kreować politykę w duchu interesu narodowego. Nie jest zadaniem żadnego ugrupowania politycznego prowadzić edukację patriotyczną. To, że schrzaniono (a i to delikatnie powiedziane) totalnie wpajanie dzieciakom miłości do ojczyzny, a wręcz starano się wmówić społeczeństwu, że jest jakimś gorszym rodzajem człowieka, jakimś plemieniem które powinno wstydić się swojego kraju za granicą, to zasługa III RP i elit – tak politycznych, jak i intelektualnych.

Mówicie, że ktoś kradnie wam patriotyzm? Pogięło was? W kraju, w którym przez kilkanaście lat od upadku komunizmu członkowie antykomunistycznego podziemia mordowani tysiącami w katowniach UB nie mogli doczekać się należytego upamiętnienia bo przecież wśród nich zdarzały się czarne owce, a co gorsza niektórzy poczuli się do nacjonalizmu (możecie odmieniać demokrację w kontekście wyklętych przez wszystkie przypadki ale chyba nikt nie ma wątpliwości, że znaczna część tych ludzi przed wojną należała do ugrupowań endeckich albo ONR, a podczas okupacji do NSZ) więc lepiej było tego nie ruszać. Legendarny jest już tekst opublikowany w „Gazecie Wyborczej” o wszystkim mówiącym tytule „Patriotyzm jest jak rasizm” gdzie już na

samym początku fundowano czytelnikowi takie rewelacyjne przemyślenia jak to, że „patriotyzm nie ma żadnego uzasadnienia moralnego – jest zbędnym reliktem przeszłości, pozostałością po czasach, gdy hordy plemienne wiodły wojny o terytorium, żywność i kobiety”. Nagonka ma Marsz Niepodległości zorganizowana przez tę samą redakcję, próby wygwizdania i blokowania, rewelacyjne przemyślenia anarchisty do kamery TVN-u na „kontrze” w 2010 roku, że sprzeciwia się takim prymitywnym wartościom jak „naród, krew czy rasa” (czyli odrzuca pojęcie konstytucyjnego suwerena) czy wreszcie sprowadzenie przez Krytykę Polityczną do naszego kraju lewackich bojówkarzy po to, by tłuczono nie żadnych neonazistowskich skinheadów, ale przypadkowych ludzi z biało-czerwonymi flagami – to wszystko sprawiło, że zarysował się jasny podział. Po jednej stronie byli ludzie, którzy odwoływali się do najróżniejszych doktryn i ideologii, byli i nacjonałiści, i monarchiści, i wolnościowcy, chadecy i konserwatyści miłośnicy Dmowskiego i Piłsudskiego (te dwie trumny dzielące polską politykę nagle miały okazać się, pomimo różnic, jedną stroną barykady) ale wszyscy dzierżący dumnie narodowy sztandar będący a po drugiej ci, którzy postanowili sprowadzić patriotyzm do „płacenia podatków”. Nie zapomnę jak jeszcze kilka lat temu, chyba przy okazji Marszu Niepodległości (i chyba w roku 2011, bo na nim nie byłem a oglądałem to na żywo) pan ekspert w studiu deklarował, że taki zachodni, a może powiedział – anglosaski, model patriotyzmu ma przyszłość, a nie jakieś krzyki o Bogu, honorze i ojczyźnie. Hasło – przypomnijmy – zakwalifikowane przez dziennikarkę TVN24 jako nawołujące do nienawiści.

Mówicie, że zawłaszczamy pojęcie patriotyzmu? Nieprawda, osobiście uważam, że patriotą może być konserwatysta, ludowiec, socjalista... patriotyzm to uczucie, nacjonalizm to ideologia, jedno nie wyklucza drugiego, a wręcz się doskonale uzupełniają, ale nie muszą wcale występować łącznie. Z wami, moi przyjaciele z wielkich redakcji i postępowych środowisk, z wami problem jest taki, że wy się po prostu tego pojęcia i uczucia wyrzekliście. Zachowujecie się jak człowiek, który odrzucił w całości testament a potem ma pretensje, że nic nie dostał.

Opowiem wam coś, może dzięki temu się lepiej zrozumiemy. Otóż w roku 2008 wydana została przez środowiska narodowe składanka pod tytułem „Twardzi jak stal – muzyczny hołd dla NSZ”. Zaczijmy może od cytatu z jednej piosenki (pod tytułem „Żołnierzom NSZ”) w której słyszymy „nasz naród, który jak Pawłowa pies tu wszystkie winy zwała na Sowietów, a wciąż mu nie chce wejść do pustych serc szacunek dla żołnierzy NSZ-u”. I to nie jest wcale żadne nadużycie, tak się śmiesznie składa, że polityką interesuję się od dzieciaka i również dość szybko zacząłem deklarować się jako nacjonalista, i pamiętam, że jeszcze dekadę temu powszechne było przeświadczenie wśród ludzi, że NSZ (o ile ktoś w ogóle wiedział o istnieniu takiej formacji) to byli przede wszystkim hitlerowscy kolaboranci. Kto był odpowiedzialny za tak rewelacyjny poziom społecznej świadomości? Osobiście nie mam złudzeń.

O tym, jak było kiepsko z społeczną świadomością niech świadczy fakt, że wydanie tej płyty, a w zasadzie postawienie strony internetowej i wrzucenie tych kilkunastu utworów do sieci, uznawane było za WIELKI SUKCES (ona sama zresztą chyba na swój sposób po dziś dzień jest kultowa, a piosenkę niejakiego Schmaltza po dziś dzień puszcza się w jednym z krakowskich barów). Czy dociera do was ten poziom absurdu? To już nie chodzi o to, że nacjonalistyczne manifestacje to było dziesięć osób na krzyż (młodszym czytelnikom i towarzyszącom w idei polecam poszukać na YouTube jak to wyglądało kiedyś. Będziecie zszokowani), bo to były nasze kłopoty i nasze sprawy, tu chodzi o to, że nie dało się w tym kraju porządnie wydać płyty CD poświęconej jednej z trzech największych formacji partyzanckich walczących o wolność Polski podczas wojny.

Dlatego, łaskawie, nie udawajcie, że coś wam zabieramy, bo wy tego po prostu nie chcieliście. Przez kilkanaście lat dominowaliście w dyskursie, nas spychaliście... chyba nawet nie do ideowego getta a jak ktoś mówił o miłości do Polski, to zabijano go śmiechem.

W sumie dość wymowny jest fakt, że człowiek, którego kiedyś miałem okazję znać i który kilka lat temu pragnąc mi ubliżyć szydził z biało-czerwonej flagi i gardził swoimi rodakami, dzisiaj jest członkiem... a, nieważne której organizacji. Dzisiaj jest gorliwym patriotą. Nacjonalistą raczej nie

jest, nacjonalizm to idea a zatem wytwór rozumu, a on był na to za głupi. Jedno jest pewne – kocha Polskę. Teraz jest to modne, kiedyś nie było. Podobnie traktowano mnie jak nieszkodliwego wariata gdy wyrażałem swoje zażenowanie koszulkami z „Che”. Dzisiaj ciężko kogoś w niej spotkać. Znak czasu.

Tak, dokonaliśmy tego, choć jako osoba krytycznie podchodząca do naszych osiągnięć uważam, że w znacznej mierze to wasze osiągnięcie. Tak jak zeświecczeni muzułmanie na Zachodzie żyjąc w świecie demoliberalnym, kastrującym z jakiegokolwiek przynależności kulturowej, nagle odkrywają swoją arabską tożsamość i zostają od razu islamskimi ekstremistami, tak polska młodzież analogicznie powróciła do swych korzeni w wyniku tego, że po prostu przegięliście.

Nie jestem fanem polskiego przemysłu tiszertowego. Wynika to z faktu, że – w moim odczuciu – jest on w jakiś sposób związany z naszym środowiskiem lecz przekaz ten jest „ugrzeczniiony”, nie jest nacjonalistyczny a jedynie patriotyczny. Ideę można promować w ten sposób doskonale – pokazuje to przykład kilku zagranicznych firm, których marki są mniej lub bardziej znane a których produkty wprost mówią o cywilizacji rzymskiej, plemionach germańskich, Słowiańszczyźnie, europejskiej solidarności (ale nie takiej, o jakiej wy mówiliście latami), czy (w przypadku naszego wschodniego sąsiada) członkach radykalnych formacji walczących przeciw separatystom. Nie zmienia to jednak faktu, że nasze marki zrobiły dobrą robotę. Może z wielu milionów Polaków nacjonalistów nie zrobimy, ale gorących patriotów – pewnie tak. Można oczywiście się śmiać z kolejnych marek i kolejnych wzorów, często infantylnych, wreszcie z czasem wręcz groteskowych pomysłów typu napój energetyczny poświęcony żołnierzom wyklętym – sam trend jednak jest czymś bardzo pozytywnym. Oczywiście dopuszczam też do głowy myśl, że, przykładowo, niektórym powstańcom może się nie podobać nadmierne używanie symboliki powstańczej na różnego rodzaju gadżetach – dopóki jednak znajdują się na koszulkach, a nie tylnej części majtek, to wszystko jest moim zdaniem okej. Powstańców powinien cieszyć fakt, że ktoś pamięta o ich walce i poświęceniu – i zapewne wielu to cieszy. A samo powstanie nie miało charakteru ideowego tylko narodowo-wyzwoleńczy. To historia Polski, a nie obrony praw człowieka. Zryw był przeciw niemieckiej okupacji – to, jaką siedzący w garnizonach żołnierze wyznawali ideologię, miało charakter drugorzędny.

Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że przeciw koszulkom z kotwicą protestuje podmiot, który w swojej ofercie miał (a pewnie ma nadal – nie chce mi się sprawdzać) gadżety z taką właśnie symboliką. Konkurencja boli?

A wam, drodzy dziennikarze, życzę więcej pokory. Pamiętajcie, że każdy kraj i każda epoka musi mieć swojego Talleyranda – zachowajcie jednak chociaż na tyle przyzwoitości i nie udawajcie, że od zawsze byliście gorliwymi patriotami. Nie byliście. Wystarczy przejść się do biblioteki i sięgnąć do archiwalnych numerów waszych pism by się o tym przekonać.

Michał Szymański

„Marksizm kulturowy i jego owoce”

W polskim ruchu nacjonalistycznym wiele się mówi o zagrożeniach dla naszego narodu płynących między innymi z lobby ruchów LGBT, źle pojętego feminizmu, propagowania aborcji (jako „wykorzystania wolności do wyboru”), czy zrzeszeń antyreligijnych. Co łączy te wszystkie zjawiska? W znacznej mierze są one owocami pracy reprezentantów nurtu marksistowskiego zwanego marksizmem kulturowym. Tekst ten będzie miał za zadanie przedstawić ich działalność wraz z jej owocami.

Marksizm kulturowy jest nierozłącznie związany ze środowiskiem naukowym powstałego już w 1923 roku Instytutu Badań Społecznych we Frankfurcie nad Menem, które przyjęło, od nazwy miasta w którym powstało, miano szkoły frankfurckiej. To tam po objęciu stanowiska dyrektora przez Maxa Horkheimera powstała „teoria krytyczna”, która stanowiła ideę-pomost dla rozwinięcia się wspomnianych we wstępie zjawisk społecznych. Jak sama jej nazwa wskazuje – kluczowym elementem z nią związanym była krytyka. Czego? Przede wszystkim tradycyjnej kultury i jej zasad oraz norm. Przedstawiciele szkoły frankfurckiej za twórcę „teorii tradycyjnej” (idei opozycyjnej wobec „teorii krytycznej”) uznali Kartezjusza, który to ustalił klasyczną metodologię nauki opartej na rozdzieleniu przedmiotu oraz podmiotu i niezmienności obu tych czynników, co skutkowało obiektywnością badań. Natomiast „teoria krytyczna” zakładała odnajdywanie podmiotu w przedmiocie, które oznacza próbę subiektywnego rozpatrywania podmiotu w różnych kontekstach. Zasady „teorii tradycyjnej” były na wskroś naukowe. Z kolei „teorię krytyczną” identyfikowano z filozofią. Co oznaczają te różnice? Otóż fakt budowania przez reprezentantów szkoły frankfurckiej (kolejnej w dziejach) „nowej filozofii” wiązał się z chęcią radykalnej rewolucji na łamach kultury. Głównym objawem tego przewrotu miało być zburzenie tożsamości, tradycyjnych wartości, wzorców oraz moralności opartej na religii i zastąpienie ich tym, co można dziś powszechnie zaobserwować jako poprawność polityczną, otwartość, czy tolerancję. Wszystkie te rzekome alternatywy do tradycyjnej kultury są wciąż szeroko forsowane. Warto jednak wspomnieć, że kulturowi marksiści dostrzegali w przedmiocie swoich badań autentyczne problemy takie jak obniżenie gustów, czy komercjalizacja kultury. Trzeba jednak zaznaczyć, że mimo spostrzeżenia i trafnego opisu między innymi wspomnianych zjawisk, szkołę frankfurcką można określić jako think-tank nowej lewicy oraz neomarksizmu. Rolę proletariatu w rozumieniu jej ideologów zastąpiły uciskane przez zwolenników tradycyjnej kultury mniejszości, które „nie pasują” do świata pełnego tożsamości o jasnych granicach oraz obiektywistycznych wartości. Do owych mniejszości należą między innymi homoseksualiści, transwestyci, feministki, czy nawet wojujący ateści.

Zasady marksizmu kulturowego zostały więc oparte na typowo marksistowskim podziale na „dobrych” i „złych” obywateli. Ponadto warto zauważyć, że marksiści kulturowi również chcieli dokonać w społeczeństwie przemian poprzez konstrukt ideologiczny, który nazywali filozofią. Należy jednak pamiętać, że „stary marksizm” mimo wszystko był odmienny od tego opisywanego w tym tekście. Pierwotne marksistowskie założenia skupiały się na rozmaitych zależnościach i przekształceniach materii, które miały być zdeterminowane prawami mającymi w swym społecznym wymiarze polegać na nieustannej walce klas. Istotnym jego elementem było również przekonanie o konieczności rewolucji w imię postępu, która miała doprowadzić społeczeństwa do stanu bezklasowego. Natomiast w marksizmie kulturowym przyjmowano ideę zaczerpniętą od włoskiego marksisty, Antoniego Gramsciego, który mówił o potrzebie przeprowadzenia „długiego marszu” lub „marszu przez instytucje”. Pewnie wielu polskich nacjonalistów kojarzy to pojęcie z niespełnionymi, zaprzepaszczonymi założeniami Ruchu Narodowego, ale nie o tym ma traktować tekst. Ów „długi marsz” miał prowadzić do zaprowadzenia przez daną klasę społeczną hegemonii kulturowej – totalnej zmiany dominującej w danym społeczeństwie ideologii.

Na tym etapie warto zadać pytanie o zakres oraz skalę oddziaływania marksizmu kulturowego na świat Zachodu. Nie da się ukryć, że najczęściej forsowane wzorce kulturowe różnią się obecnie radykalnie od tych tradycyjnych. Wspomnieć warto jako chociażby przymusową tolerancję, która

wynika bezpośrednio z Queer Theory. Co stoi za tym angielskim pojęciem? Stara się ono wyjaśnić różnice społeczne – ze szczególnym uwzględnieniem różnic płciowych. To właśnie ta teoria (wraz z jej nowomową) zapoczątkowała trwającą wciąż próbę oszukania natury poprzez kontestację utartych norm związanych z płciowością człowieka. Dzięki Queer Theory ruch LGBT i feministki mają otwarte drzwi do manifestowania swoich coraz dalej idących roszczeń. Nie da się ukryć, że pojęcie to jest ściśle związane z teorią krytyczną.

Również wojujący ateizm wynika często z kulturowego marksizmu. Chrześcijański system wartości już wiele razy budził sprzeciw, często był na celowniku szkodliwych ideologii. Współcześnie znów mamy do czynienia z próbą zdeprecjonowania znaczenia chrześcijaństwa. Co łączy to zjawisko z marksizmem kulturowym? Otóż według reprezentantów szkoły frankfurckiej i jej pochodnych, a szczególnie czołowego ideologa, Theodora Adorno, który skonstruował pojęcie „osobowości autorytarnej”, religia chrześcijańska oraz wynikające z niej normy takie jak tradycyjnie pojęta rodzina prowadzą do... faszyzmu, czy – jak to częściej ujmuje się w Ameryce – rasizmu. Dziać się tak miało ze względu na rzekomo opresyjny charakter chrześcijaństwa, od którego – według teoretyków marksizmu kulturowego – należało uwolnić społeczeństwa. Skutkiem dekonstrukcji wartości chrześcijańskich jest powszechny relatywizm moralny, zanik obiektywistycznej teorii moralności.

Wielu nacjonalistycznych publicystów w Polsce i – w większym wymiarze – poza nią podejmowało temat dyktatu politycznej poprawności. Z tego tekstu jasno wynika, że jest ona wynikiem świadomych działań pewnych kręgów intelektualnych. Narracja zapoczątkowana przez przedstawicieli szkoły frankfurckiej trwa na wielu uniwersytetach, czy innych środowiskach naukowych po dziś dzień. Należy zaznaczyć, że zagrożenie płynące wciąż z dekonstrukcji tradycyjnych wartości, czy zideologizowanego relatywizmu reprezentowanego przez zwolenników teorii krytycznej jest szczególnie silne nie tylko ze względu na przyjmowanie niektórych postulatów marksistów kulturowych przez kręgi polityczne, ale przede wszystkim ze względu na wspomnianą obecność ich ideologii w kręgach intelektualnych – nie tylko filozoficznych, ale również socjologicznych, czy psychologicznych (na teorię tej odmiany marksizmu miała znaczny wpływ psychoanaliza).

Wielkim zadaniem dla ludzi, którzy wierzą w słuszność tradycyjnych ideałów oraz klasycznie rozumianej tożsamości, jest walka z marksistowską hydrą. Należy przede wszystkim skupić się na przyczynach współczesnych, niepokojących zjawisk kulturowych oraz społecznych, a nie tylko – jak to ma miejsce w przypadku większości powstających między innymi w polskim obozie narodowym inicjatyw – na niwelowaniu ich objawów. To skupienie powinno się przejawiać w nieustannej formacji intelektualnej oraz osobowościowej i musi być również przekładane na obecność ludzi, którym zależy na przetrwaniu naszej cywilizacji, w przestrzeni publicznej – nade wszystko na aktywności akademickiej.

Michał Walkowski

„Lajos Marton - Całe życie w walce”

Lajos Marton urodził się 29 kwietnia 1931 roku w Posfie, niewielkiej wsi przy granicy z Austrią. Od dziecka marzył o karierze oficera i konsekwentnie dążył do wyznaczonego celu. Zakończenie II wojny światowej, a wraz z nim wejście Węgier do obozu państw sowieckich rozbudziło w Martonie antykomunistyczne powołanie. Po stłumionej rewolucji węgierskiej Marton udał się do Francji. Postanowił zostać tajnym współpracownikiem NATO – jedynej realnej siły mogącej przeciwstawić się.

Po przybyciu do tego kraju, którego język znał od wczesnej młodości, postanowił kontynuować działalność wojskową, jednak szybko naocznie przekonał się o tym, czym jest „polityka dezercji i dekadencji” osłabiająca armię francuską. Postawę ówczesnych władz Francji w Algierii uznał za tchórzostwo. W związku z tym dołączył do Organisation de l'Armée Secrète (OAS – Organizacja Tajnej Armii, założonej w 1961 roku). Powstał w reakcji na referendum dotyczące samostanowienia Algierii. Po podpisaniu uznanych za zdradę stanu porozumień w Evian – les Bains członkowie ugrupowania wierzyli, że wywołają nowy konflikt zbrojny w Algierii. Bezskutecznie, postanowiono przenieść działalność OAS do Europy.

22 sierpnia 1962 roku członkowie grupy bojowej „Charlotte Corday” przeprowadzili nieudany zamach na prezydenta Republiki Francuskiej Charles’a de Gaulle’a. Jednym z żyjących bohaterów tamtych wydarzeń jest Lajos Marton - człowiek, który ułokował najwięcej kul w prezydenckim samochodzie. Zamach w Petit – Clamart to jeden z największych aktów poświęcenia dla idei, którego dokonał Marton. Został za to skazany na 20 lat pozbawienia wolności. Odbywał karę w kilku więzieniach, m.in. na słynnej wyspie Ré. W 1968 r. skorzystał z amnestii i odzyskał wolność. Powrócił do działalności wojskowej.

Na początku lat 80. XX w. brał udział w ryzykownej akcji dywersyjnej w Czadzie. Pod koniec tego dziesięciolecia otrzymał upragnione pozwolenie na wjazd do Węgier. Po dziś dzień współpracuje z administracją węgierską, a także bierze udział w konsultacjach prowadzonych przez węgierskie ministerstwo obrony.

Lajos Marton to postać niezwykle barwna. Idealista, żołnierz, antykomunista, a przede wszystkim człowiek honoru. Człowiek, którego całe życie pochłonęła walka z komunizmem i jego następstwami. To węgierski i francuski patriota, wielki przyjaciel Polski, który do dzisiaj wspomaga młodzież swoim doświadczeniem i autorytetem. Postać niezwykle ważna dla ruchów narodowych zarówno na Węgrzech, jak i we Francji.

W 2015 roku dzięki wydawnictwu Arte ukazała się polska edycja biografii Lajosa Martona pt. *Moje życie dla Ojczyzny!* Powinien przeczytać ją każdy, kogo interesują losy współcześnie żyjących wojowników – idealistów, żołnierzy niezłomnych XX wieku. To również wyśmienita analiza historii powojennych Węgier i Francji widzianych oczami uczestnika najważniejszych wydarzeń w historii tych państw w drugiej połowie ubiegłego stulecia.

Tomasz Kosiński

„Czy ja miałem szczęście? Czy szczęściem jest pozostanie przy życiu po dwóch wyrokach śmierci (zaocznych), jednym na Węgrzech, drugim we Francji? Zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa powinienem był przejść przez życie jako skromny chłop węgierski w malutkiej wiosce w pobliżu granicy austriackiej, lecz Los zdecydował inaczej. Nigdy nie miałem wyboru w ważnych decyzjach. Nie wierzę w predestynację jako pogląd, zgodnie z którym wszystko zostało zdecydowane wcześniej i wszystko jest zapisane w gwiazdach. Myślę, że to człowiek decyduje o swoim losie. A przynajmniej zawsze może powiedzieć nie.”

Lajos Marton

„Odezwa do młodzieży polskiej”

Wiek XX był świadkiem dwóch wojen światowych, w wyniku których tymi, którzy ponieśli największą klęskę były nasze kraje, kraje kontynentu europejskiego.

W trakcie przygotowań do „traktatu pokojowego” bez udziału krajów pokonanych, Marszałek Foch z wyjątkową jasnością umysłu pozwolił sobie na stwierdzenie: „to nie jest pokój, to jest rozejm na dwadzieścia lat”.

Te dwie wojny światowe mogą, a nawet muszą zostać uznane za kolejną wojnę trzydziestoletnią (1914-1945). Od siebie dodam, że była to domowa i bratobójcza wojna europejska. Traktaty podpisane w 1920 r. zniszczyły cztery imperia: Cesarstwo Niemieckie, Austro-Węgry, Imperium Rosyjskie i Osmańskie. Po zakończeniu drugiego konfliktu przestały również istnieć dwa kolejne imperia: Francji i Wielkiej Brytanii. W 1945 roku prawdziwymi zwycięzcami były dwa pozaeuropejskie supermocarstwa: USA i ZSRS. Zauważmy, że oficjalne nazwy tych dwóch krajów nie wskazują na przynależność narodową ich mieszkańców. Mówią po prostu: Ameryka - Republiki sowieckie.

Po straszliwych zniszczeniach Europa była przez pół wieku okupowana i militarnie podporządkowana przez te dwie „anonimowe spółki akcyjne”. Nasz kontynent stracił w ten sposób na długo, może na zawsze, swoją światową supremację.

Głębokie i narzucone zmiany radykalnie zmieniły moralnie i gospodarczo nasze kraje Europy Środkowej. Połączono 28 krajów europejskich - czy tego chcieli, czy nie. Pamiętajmy o referendum z roku 2005 w sprawie Konstytucji Europejskiej, którą 55% Francuzów odrzuciło. Realna władza nie jest już sprawowana przez stolice poszczególnych krajów ale przez niewybranych przez nikogo urzędników w Brukseli oraz przez zglobalizowane superbanks.

Jaka przyszłość więc dla naszych narodów Europy Środkowej? Co jest obowiązkiem polskiej i węgierskiej młodzieży? Dziś wybór jest dziecinnie prosty. Czy chcemy żyć w wolnych i niepodległych państwach, czy też mamy dać się rozpuścić w globalnej magmie bez granic i bez wolności zaprojektowanej przez tajne oficyny, przez bezpieczeństwa organizacje i przez potwornych ideologów? Wiatr historii jest tylko marksistowskim wynalazkiem. Zresztą, gdzie jest ten sowiecki raj obiecany jako najwyższa nadzieja? Ten ohydny raj wbrew naturze zawałił się jak domek z kart i to bynajmniej nie w wyniku zbieżnych działań Wall Street i MFW ale dzięki zdecydowanemu oporowi naszych narodów. Czy wiara w Boga i uczucie dumy z przynależności do naszych narodów mają zostać wyrwane z naszych serc? Nigdy!

Tysiącletnia Polska, podobnie jak Węgry należy do cywilizacji chrześcijańskiej. To nasze prawo, nawet nasz święty obowiązek, żebyśmy żyli podług naszych przyrodzonych praw. W Polsce jest młodzież, która może pokonać wszystkie trudności i pokonać wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.

Nasz świat cały jest dziś na rozdrożu. Nasza przyszłość nie jest zapisana w jakimś tam miejscu - zależy od nas i patrioci Europy Środkowej muszą obudzić się i sprostać wyzwaniu rzuconemu przez wrogów wszelkiego rodzaju. Nikt nie zrobi tego za nas - nasze pokolenie może liczyć tylko na siebie i na solidarność kilku przyjaznych narodów.

Życzę polskiej młodzieży czujnego ducha w tej walce pod chwalebny sztafardą przykładu naszych przodków, naszych bohaterów i naszych męczenników.

Zjednoczeni - zwyciężymy!

Między naszymi dwoma narodami w ciągu wieków utrzymała się głęboka i szczerza przyjaźń. Pozdrawiam polską młodzież i zapewniam ją o mojej wiernej przyjaźni.

Niech żyje wielki naród polski!

Niech żyje przyjaźń polsko-węgierska!

Kawaler Zakonu Witezów Węgierskich

Generał Brygady Gwardii Narodowej 1956

Bojownik OAS i weteran z Petit-Clamart

/ - / Lajos Marton

Okolice Paryża, 29 kwietnia 2015

„Republikanin, rewolucjonista, deista, bohater narodowy - Tadeusz Kościuszko”

Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko jest znany szerszemu gronu przez swój wkład w walkę o niepodległość Polski w tzw. Insurekcji Kościuszkowskiej. I na tym wiedza na temat tego bohatera narodowego najczęściej się kończy. Mało kto jest świadom poglądów Tadeusza Kościuszki. Warto je tutaj odświeżyć. W końcu trudno sobie uświadomić i wyobrazić, że polski bohater narodowy mógł być deistą, antyklerykałem i mieć za przyjaciół masonów? Dla niektórych może być to szokiem.

Poniższy tekst będzie próbą obiektywnego opisanego osobowości omawianej postaci historycznej. Z racji tego warstwa tekstowa składać się będzie z dwóch części. Pierwsza będzie formą krótkiej biografii, druga składać się będzie z poglądów Tadeusza Kościuszki.

Zanim zaczniemy typową biografię, warto poświęcić jeden akapit dotyczący rodu Kościuszków. Uważa się, że Tadeusz Kościuszko wychowywany był w duchu tolerancji religijnej. Wywodził się on z białoruskiej szlachty, która zamieszkiwała tereny tzw. Rusi Litewskiej. Początkowo przodkowie Tadeusza porzucili prawosławie na rzecz protestantyzmu. Jeden z nich, niejaki Jan Kościuszko, na początku XVII w., będąc już ewangelikiem, wziął ślub z arianką i sam przeszedł na wierzenie braci polskich. W 1658 r. arian zmuszono do przyjęcia katolicyzmu albo do opuszczenia kraju (wpływ na to miała kolaboracja dużej liczby arian na rzecz Szwedów podczas II wojny północnej). Wspomniany ród szlachecki wybrał w tym przypadku katolicyzm i tak już pozostało. Z autopsji znał on katolików, prawosławnych, unitów, protestantów oraz żydów. Podwaliny tej tolerancji mogły mieć wpływ na rozwój deizmu jako idei oświeceniowej u omawianej postaci, o czym szerzej później.

Wychowanie miało duży wpływ na uformowanie poglądów Tadeusza. W wieku 9 lat rozpoczął on edukację jako uczeń kolegium pijarskiego w Lubieszowie koło Pińska. Edukację prowadziły osoby duchowne. W oświeceniowym typie kształcenia, m.in. oprócz łaciny uczono języka polskiego, matematyki oraz nauk przyrodniczych. Ponadto pedagodzy przekazywali wzorzec „oświeconego obywatela patrioty”, zaktywizowanego dla dobra swojej ojczyzny, co także udzieliło się w późniejszym życiu Tadeusza. Warto wspomnieć, iż opisywaną szkołę zreformował Stanisław Konarski - pijar, katolicki zakonnik wdrażający idee oświeceniowe w szkolnictwie. Wróćmy jednak do Tadeusza Kościuszki. Przerwał on naukę w 1760 r., ze względu na śmierć ojca. Los jednak się do niego uśmiechnął - otrzymał rekomendację lokalnej szlachty oraz władz kościelnych z terenów rodzimego Polesia. Dzięki znajomościom, stał się kandydatem do podjęcia studiów w Szkole Rycerskiej. Stypendium ufundował mu Adam Kazimierz Czartoryski, widząc potencjał w młodej osobie. Kościuszkę przyjęto do szkoły, gdy miał 19 lat. Wspomniana placówka stanowiła kondominium polskiego oświecenia w edukacji w tamtym czasie, m.in. sprowadzano do niej wybitnych zagranicznych wykładowców. Oprócz tego Tadeusz za dobre wyniki w szkole został wysłany na stypendium do Francji. Oficjalnie studiował w Akademii Malarstwa i rzeźby, a na prywatnych lekcjach poszerzał wiedzę na temat wojskowości. (Powodem takiego stanu rzeczy był fakt, iż w tamtym czasie cudzoziemcy nie mogli legalnie wstąpić do francuskiej akademii wojskowej). Wspomniane nauki miały miejsce w latach 1769-1774. Uznaje się, iż ten wyjazd do przedrewolucyjnej Francji miał wpływ na rozwój poglądów Tadeusza Kościuszki. Podczas tej podróży zwiedził również Holandię, Anglię, Szwajcarię, Saksonię oraz Półwysep Apeniński. Warto podkreślić na koniec tego akapitu, iż sam mecenas Szkoły Rycerskiej, Adam Kazimierz Czartoryski, ubiegał się o przywilej wyjazdu za granicę Tadeusza Kościuszki u króla Polski - Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Po skończeniu szkoły i po powrocie z zagranicznej podróży, Kościuszko nie odnalazł się, dzisiaj byśmy to określili - „na rynku pracy”. Jego umiejętności nie zostały docenione w kraju, pomimo tego, że był np. w stopniu kapitana. Wpływ na to miała m.in. redukcja w armii Rzeczypospolitej, wymuszona przez zaborców. (Pamiętać trzeba, iż kiedy Tadeusz był we Francji doszło do I rozbioru Polski). W tym samym czasie przeżył on zawód miłośny. Dorabiając jako nauczyciel córek hetmana

Józefa Sosnowskiego, zakochał się w jednej z nich - Ludwice, z wzajemnością. Nie posiadał stosownego majątku, dlatego też miał nikłe szanse na oficjalne zaręczyny. Po nieudanych zaręczynach, porwał on ukochaną, jednak służba powiedziała hetmanowi, do czego doszło. W konsekwencji Tadeusz Kościuszko został pobity przez Józefa Sosnowskiego dając nauczkę, że takie zachowanie nie będzie tolerowane. Niespełniona ukochana - Ludwika Sosnowska, ostatecznie została wydana za księcia Stanisława Lubomirskiego. (Jej ojciec przegrał jej rękę w grze w karty ze wcześniej wspomnianym księciem). W konsekwencji tych doświadczeń, młody polski oficer, niepotrafiący odnaleźć się w realiach i uciekając przed zemstą ojca ukochanej, wyruszył w kolejną podróż.

Tadeusz Kościuszko przybył w 1775 r. do Saksonii. Poszukiwał tam pracy - bezskutecznie. Trafił następnie do Paryża. To właśnie tu dowiedział się o wojnie koloni w Ameryce Północnej z Wielką Brytanią. W czerwcu 1776 r. znalazł się w jednym z francuskich fortów i wyruszył przez ocean. Po dwóch miesiącach podróży znalazł się w Filadelfii. Wziął udział w Rewolucji Amerykańskiej jako ochotnik. Zajmował się głównie budowaniem fortyfikacji. To właśnie podczas tego konfliktu, Tadeusz Kościuszko zetknął się z realizowanymi w praktyce ideałami republikańskimi. Jego przyjacielem stał się m.in. Thomas Jefferson. Uzyskał w tej wojnie stopień generała brygady armii amerykańskiej.

Kościuszko wrócił do kraju w 1784 r. i ujrzał ojczyznę w rozkładzie. Osiadł w rodzinnym majątku w Siechnowiczach. W związku z reformą zwiększenia liczebności wojska do 100 tyś. w ramach obrad Sejmu Czteroletniego, Tadeusz Kościuszko 12 października 1789 r. otrzymał od króla nominację na generała majora wojsk koronnych. Rozpoczęła się wojna polsko-rosyjska w 1792 r., w obronie Konstytucji 3 maja. Głównym punktem zapalnym tej wojny było zawiązanie Konfederacji Targowickiej. Tadeusz dostał dowództwo nad dywizją w tym konflikcie. Za dokonania podczas tego konfliktu odznaczony został orderem Virtuti Militarii, oraz Orderem Orła Białego. Po zdradzie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który przeszedł na stronę Targowiczan, Tadeusz Kościuszko wyemigrował za granicę, do Drezna. Już w 1793 roku z innymi konspiratorami planował powstanie.

Warto w tym akapicie przejść do najważniejszych kwestii z powstania z 1794 roku, przez które Tadeusz Kościuszko stał się najbardziej rozpoznawalny w obecnych czasach. Owa Insurekcja, nazwana później przez historyków - Kościuszkowska - stała się nie tylko polem bitewnym w walce z Rosjanami, ale też poligonem doświadczalnym wprowadzania nowych reform wojskowych w duchu republikanizmu i oświecenia, m.in. do armii polskiej trafili mieszczenie i chłopci. Ci ostatni najczęściej uzbrojeni w kosy bojowe tworzyli tzw. oddziały Kosynierów. Pomimo początkowych sukcesów zrywu, w ostateczności powstanie zakończyło się klęską. W trakcie przegranej bitwy pod Maciejowicami, ranny Kościuszko trafił do niewoli carskiej.

Generał Kościuszko był więźniem rosyjskim do grudnia 1796 r. Jego kondycja fizyczna i psychiczna nie miewała się dobrze. Ponadto ten stan pogłębił upokarzający akt wierności poddańczej - chodzi dokładnie o przysięgę wobec cara Pawła I. Cena tak wysoka była pragmatycznym wyborem uwolnienia powstańców polskich, znajdujących się w niewoli tak jak ich dowódca. Oswobodzony, wraz ze swoim najbliższym przyjacielem - Janem Ursynem Niemcewiczem, wyruszyli do USA. Gościł ich sam Jerzy Waszyngton. Tadeusz Kościuszko odwiedził w tym czasie też Thomasa Jeffersona. Oprócz sentymentalnych wspomnień z okresu Rewolucji Amerykańskiej podczas biesiad i pogawędek, wyprawa Kościuszki do Ameryki miała także pragmatyczny cel. Dokładnie chciał on odzyskać zaległe płatności. W końcu jakby nie patrzeć był najemnikiem w czasie wojny o niepodległość USA, a ówczesna sytuacja materialna Kościuszki nie kreśliła się w kolorowych barwach.

Wciągnięty znów do polityki wyruszył do Francji w 1797 roku. Na prośbę Jeffersona, Tadeusz podjął się roli mediatora i pod koniec czerwca przybył do Francji. Misję wobec USA wypełnił z powodzeniem, jednakże w kwestii polskiej nie zdziałał nic. Polscy konspiratorzy przyjęli Kościuszkę z mieszanymi uczuciami. Tadeusz jednak angażował się dalej dla sprawy Polski. Sam

brał udział w zawiązywaniu Legionów Polskich we Włoszech oraz w tworzeniu struktur organizacji o nazwie „Towarzystwo Republikanów Polskich”. Nie podzielał on jednak nadziei na odzyskanie niepodległości dla Rzeczypospolitej u boku Napoleona Bonaparte, którego szczerze nie lubił. (Choć Cesarz Francuzów określał go mianem „Bohaterem Północy”). Symbolicznym pozostaje fakt, iż Kościuszko nie przybył do utworzonego w 1807 r. Księstwa Warszawskiego. Tadeusz Kościuszko w 1815 r. osiadł w Szwajcarii, w mieście Solura, u zaprzyjaźnionego Franciszka Ksawerego Zeltnera. Wycofał się z życia publicznego. Czuł się też wyalienowany z polskiego środowiska emigracyjnego. Tadeusz Kościuszko zmarł 15 października 1817 r.

Po przedstawieniu najważniejszych wątków biograficznych omawianej postaci, warto w tym akapicie przejść do drugiej części tego artykułu, jakim będą jej poglądy. Na początek rozwinąć trzeba czytelnikowi kwestie deizmu wyznawanego przez Tadeusza Kościuszkę i jego poglądy na temat religii, zwłaszcza antyklerykalizm. Następnie zostaną przedstawione poglądy na temat człowieka, kwestia równości wszystkich ludzi wobec prawa oraz wdrażanie ideałów republikańskiego oświecenia w życie.

Teoretyczna koncepcja oświeceniowa deizmu zakładała m.in., że człowiek powinien samodzielnie kształtować swoje poglądy religijne zgodnie z wytycznymi rozumu i zasadami współżycia społecznego. Deiści odrzucali tradycyjne dogmaty oraz instytucję Kościoła, traktując je jako ucisk wobec jednostki, ludów i narodów. (Deizm traktowali jako „lek” na „negatywne wpływy instytucji religijnych” na społeczeństwo). Religia pojmowana w sposób deistyczny określano terminem „religii natury”, a Boga określano jako „Istotę Najwyższą” lub „Absolutem”. Jednakże Tadeusz Kościuszko inaczej rozumiał deizm - w jego pojmowaniu więcej było podejścia emocjonalnego niż racjonalnego w tej koncepcji.

Kościuszko uważał, że państwo nie powinno mieć innej religii niż naturalna. Religia, według niego, wykorzystywana była przez kapłanów do utrwalania dominacji nad ciemnym ludem, głównie do zaspokajania materialnych potrzeb oraz wzmocnienia władzy tyranów. Z racji tego potępiał nie tylko kościół katolicki, ale np. też kościół prawosławny czy unicki oraz zapewne protestanckie zbory. Tutaj pojawia się interesująca koncepcja kwestii religia, a państwo - zdaniem Kościuszki wyznania religijne powinny być podporządkowane strukturom państwowym, które w konsekwencji zapewniałyby obywatelom swobodę wyznania w granicach obowiązującego prawa. Najbardziej widoczne jest to w pewnym źródle historycznym. Chodzi dokładnie o tzw. „Memoriał Kościuszki” z 1814 roku, zaadresowany do A.J. Czartoryskiego - tego samego, który przyjął Tadeusza Kościuszkę do szkoły Rycerskiej. (Jest kilka tłumaczeń tego dokumentu z języka francuskiego, ja posłużę się z portalu racjonalista.pl) W dokumencie tym Tadeusz Kościuszko surowo oceniał kler katolicki, ale i nie tylko, bo i tzw. „prywatę”, cytując:

„Jeśli jednak, na odwrót rozpoczęcie od oświecania Księży, dacie im /tym samym/ więcej środków, by zniewalali Lud i trzymali go w jeszcze silniejszym uzależnieniu, bowiem każde wydzielone ciało w Narodzie będzie mieć zawsze swój własny interes, przeciwny do interesu Państwa, bądź będzie występować przeciwko działaniom rządu, bądź będą miały miejsce potajemne bunty i konspiracje, w które niestety obfituje historia. Nie można mieć nadziei, że zmieni się ich zachowanie, gdyż w ich podstawowym interesie leży mamienie ludu kłamstwami, strachem przed piekłem, dziwacznymi dogmatami oraz abstrakcyjnymi i niezrozumiałymi ideami teologicznymi. Księża będą zawsze wykorzystywać ignorancję i przesady Ludu, posługiwać się (proszę w to nie wątpić) religią jako maską przykrywającą ich hipokryzję i nieczne uczynki. (...)”

W innym fragmencie tego memoriału czytamy, kolejne uwagi wobec kleru, m.in.:

„Widzieliśmy Rządy Despotyczne, które posługiwały się zasłoną religii w przekonaniu, że to będzie najmocniejsza podpora ich władzy, wyposażano więc Księży w największe możliwe bogactwa kosztem nędzy ludu, nadawano im najbardziej oburzające przywileje aż po miejsce u Tronu, jednym słowem, tak mnożono względy, dobra i bogactwa Duchownych, że połowa Narodu cierpiała i jęczała z biedy, podczas gdy oni, nie robiąc nic, opływali wszelkie dostatki.”

Tadeusz Kościuszko wdrażał w życie deizm, np. świadomie nie wykonywał praktyk religijnych, co odbierane było negatywnie i z napomnieniem m.in. ze strony biskupa Turskiego. Usilnie namawiał on Kościuszkę do obowiązkowej dla każdego katolika spowiedzi wielkanocnej, a Tadeusz... „miał to gdzieś”. Dojść można do wniosku, iż Tadeusz Kościuszko czcił Boga, jako istotę wyższą, ale nie brał udziału w mszach świętych, obrzędach i życiu religijnym. Tezę tą postawił polski historyk, uczestnik Powstania Styczniowego -Tadeusz Korzon.

Drugą mocną cechą światopoglądową Tadeusza Kościuszki w kwestii religii było potępienie fanatyzmu religijnego, np. twierdził on, że:

„Fanatyzm dodaje wprawdzie mocy duszy, ale napełnia człowieka ślepotą i tamuje wzrost myśli, dlatego nigdy nie zrówna bohaterstwu wolności”.

Przelewanie krwi w imię „istot wyższych”, także było potępiane przez Tadeusza Kościuszkę, cytując:

„Bywały czasy, kiedy dla różnych bogów, jakich sobie natworzyli ludzie, wzajemnie się zabijali, ale dziś Europa jest przekonana, że Bóg natury nie potrzebuje, aby lały dla niego krew stworzenia, co nie są zdadne ogarnąć jego istoty”.

Z racji tego Tadeusz Kościuszko nieprzychylnie obserwował Konfederację Barską oraz zamieszki i bunt Rusińskiego chłopstwa prawosławnego na Wołyniu i Podolu w latach 1788-1789. Warto poruszyć dla czytelnika to drugie wydarzenie szerzej, aby w pełni zobrazować rozumowanie i podejście Kościuszki do kwestii fanatyzmu i obrony chłopstwa. (Kwestia podejścia Tadeusza Kościuszki do chłopstwa zostanie poruszona szerzej w dalszej części artykułu).

Przyczyną sytuacji w latach 1788-1789 na Wołyniu i Podolu była prorosyjska propaganda prawosławnego duchowieństwa, która miała rozsądzić ład i porządek w Rzeczypospolitej. Kościuszko nie przyłączył się do dominującej opinii, aby ukarać zbrojnie prawosławne rusińskie chłopstwo. Padały m.in. propozycje wobec tego problemu, aby wysłać pospolite ruszenie szlachty, które dokonałoby pacyfikacji buntowników. W maju 1789 r. Tadeusz Kościuszko pisał w tej kwestii do Michała Zaleskiego. Ten ostatni był posłem na Sejm Czteroletni oraz członkiem ówczesnej sejmowej komisji śledczej w sprawie oskarżonych o bunt. Warto tu zacytować Tadeusza Kościuszkę w całości, aby w pełni zrozumieć jego stanowisko w potępieniu fanatyzmu religijnego oraz obronę chłopów, cytując:

„(...) Fanatyzm pochodzący z nieświadomości zawsze najokropniejsze zwykł wydawać skutki. Zapobiec nie(ś)wiadomości długa jest droga. Trzeba wieków, aby oświecić ludzi, a trudniej u nas, gdzie ludzie oddychają niemal z woli swych panów, nie mają żadnego po sobie prawa, nawet odmienić miejsce zabroniono im, uchylić się od okrucieństwa lub uciemiężenia, pomijam od niesprawiedliwości, bo tej zawsze doznają. Wiem, co nieludzkość odpowiedzieć może - mogą uciec. A gdzie? Pytam się, do Moskwy chyba? Bo wszędzie pozwala prawo ścigać poddanego. (Poddanego - słowo przeklęte być powinno w oświeconych narodach). To my zaludnić inne kraje naszym nierządem będziemy? Zmniejszyć fanatyzm jest krótszy sposób i nie widzę, jak jeden pewny i najłagodniejszy, łącząc święta wszystkie ich z naszymi, jeden niech będzie kalendarz. Postarać się, aby popi msze mogli mówić po polsku. Nieoświeconym ludziom powierzchowności potrzeba, widocznej różnicy, gdyż żadnej nie czynią między religią grecką nieunitów, to jest moskiewską, a swoją (unicką), jedna jest to dla nich, a nasza jest odmienna dla nich. Przyzwyczajając ich potrzeba do polskiego języka, niech w polskim języku wszystkie ich nabożeństwa będą. Z czasem duch polski w nich wejdzie”.

Brać trzeba pod uwagę jednak fakt, iż przy takim zaściankowym myśleniu większości szlachty w ówczesnym czasie, pomysły takie, jakie dawał Tadeusz Kościuszko, były w większości zapewne niezrozumiałe.

Ostatnia kwestia w temacie religii to rozdzielenie kościoła od instytucji państwowych. Tadeusz Kościuszko chciał typologicznie świeckiego państwa. W kwestii edukacji przeciwstawiał się on

powierzaniu jej klerowi. Mowa tutaj nie tylko o klerze katolickim, ale także prawosławnym i unickim. Negatywny stosunek Tadeusza Kościuszki do Kościoła widoczny był oprócz teorii także w pragmatycznych działaniach. Przykładem Insurekcja, kiedy jako Naczelnik wydawał rozkazy konfiskaty dóbr m.in. dzwonów kościelnych na rzecz powstania.

Kolejnym szerszym tematem, w związku ze światopoglądem Tadeusza Kościuszki, pozostaje wizja człowieka. Główny bohater tego artykułu głęboko interesował się ideami oświeceniowymi, które w jakiś sposób mogły poprawić żywot uciskanych przedstawicieli ówczesnego polskiego społeczeństwa - chłopów, ale i nie tylko, np. będąc w Ameryce, po wojnie przeznaczył część zdobytych funduszy na edukację murzyńskich niewolników.

Według Kościuszki, pierwszym krokiem w „uwolnieniu chłopstwa” powinno być wyzwolenie osobiste chłopca, a potem edukacja, cytując:

„Mniemają niektórzy, iż potrzeba pierwej oświecić lud, zanim mu dać wolność. Ja rozumiem przeciwnie, że chcąc oświecić lud trzeba go uwolnić. Wieleż narodów historii znamy, co nie umiały czytać, a byli wolnymi?”.

Tadeusz akceptował bez zastrzeżeń naturalną zasadę równości wszystkich ludzi wobec prawa. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach pogląd taki był rewolucyjny, czy to w absolutystycznej Francji czy szlacheckiej Rzeczypospolitej. W jednej i drugiej, każdy człowiek miał ustanowione miejsce, którego nie mógł zmienić. Tutaj najbardziej ubolewała Kościuszkę sytuacja polskich chłopów, m.in. po powrocie z wojny ze Stanów, zmniejszył pańszczyznę swoich poddanych do 2 dni. Ponadto, wdrażanie zasady równości dobitnie widać w dokumencie o nazwie „Uniwersał Połaniecki” z okresu Insurekcji. Według tego dokumentu, tereny objęte powstaniem zwolnione były z poddaństwa chłopów oraz otaczały ich państwową opieką prawną i zmniejszoną pańszczyzną. Podczas tego powstania Najbardziej znanym cytatem w tej materii pozostaje ten:

„Za samą szlachtę bić się nie będę, chcę wolności całego narodu i dla niej tylko wystawię swe życie”.

Oznacza to, iż za naród Tadeusz Kościuszko uznawał nie tylko szlachtę (naród szlachecki), ale także wszystkich tych, którzy zamieszkiwali tereny Rzeczypospolitej posługującym się językiem polskim. Mowa tu o mieszczanach i chłopach o różnym pochodzeniu etnicznym. Potwierdzeniem tego odwołania się do „etosu polskości” widać chociażby w liście do Michała Zaleskiego, gdzie padają stwierdzenia dotyczące łączenia kalendarzy, modlitwy popów w języku polskim, przyzwyczajaniu do polskiego języka oraz o „wchodzeniu polskiego ducha” w prawosławne serca.

Podczas Insurekcji, w kwestii chłopskiej i wdrażania republikańskich ideałów oświeceniowych, ważna pozostaje również bitwa pod Racławicami, a raczej sytuacja po niej. Za odniesione zwycięstwo Tadeusz Kościuszko mianował chłopca - Wojciecha Bartosza - chorążym Granadierów Krakowskich. Nadał mu również nazwisko - Głowacki. Oprócz tego Tadeusz Kościuszko, ubrał się w chłopską sukmanę. Wynikało to jednocześnie z ówczesnej tradycji wojskowej (dowódca zakładał mundur oddziału, który najbardziej wyróżnił się w walce), ale też jak wcześniej wspomniano - wprowadzaniu republikańskich wartości.

Warto na sam koniec przejść do podsumowania przedstawionych treści. Z biografii i poglądów Tadeusza Kościuszki wysnuwa się według niego obraz państwa świeckiego, w którym każdy obywatel wyznaje religię taką, jaką chce. Jest w tym tylko jeden warunek - instytucje kościelne i religijne podlegają bezapelacyjnie państwu. Edukacją powinno zająć się państwo, a nie kler, bez względu na to czy będzie to np. katolicki ksiądz, czy prawosławny lub unicki pop. Z wizji Kościuszki wyłania się też jeden naród, posługujący się językiem polskim, jako językiem państwowym, ale o różnym pochodzeniu regionalnym i etnicznym. Na temat funkcjonowania systemu czy ustroju wiemy za mało, aby szerzej przedstawić. Zapewne wizja ustroju według Tadeusza Kościuszki byłaby republiką na wzór ideałów wyniesionych ze wczesnego funkcjonowania USA. W końcu tam ujrzał on ideały republikańskie wdrażane w życie. To tam ujrzał jak angielski chłop wysłany do kolonii uzyskuje pełną wolność podczas Rewolucji

Amerykańskiej. Szerzej przebadać trzeba w tym przypadku organizację „Towarzystwo Republikanów Polskich”, a może uzyska się odpowiedzi na to pytanie. Czy może byłby to jednak model ustroju wprowadzony na wzór Jakobiński, z Rewolucyjnej Francji? Trudno to jednoznacznie określić, bo Insurekcja nie została wygrana. Intrygującym faktem jednak pozostaje, że kościół mógłby być prześladowany w takim ustroju państwowym. W końcu Tadeusz Kościuszko przetapiał m.in. dzwony na produkty potrzebne do walki z Rosjanami, co daje do myślenia, iż takie działania mogłyby być realizowane np. w polepszeniu funkcjonowania państwa albo np. na budowanie publicznych szkół. Kwestia ta pozostaje na chwilę obecną w formie przypuszczeń.

Patryk Płokita

Bibliografia:

Dokumenty źródłowe:

Kościuszko T., „O Kościele, religii i wolnej myśli”, Memoriał 1814, [w:] <http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5498>

Pozycje książkowe:

Korzon T., „Kościuszko - biografia z dokumentów wysnuta”, Kraków 1894. [w:] <http://www.dbc.wroc.pl/dlibra/doccontent?id=8653>

Koźmiński K., „Tadeusz Kościuszko 1746-1817”, Warszawa 1969;

Strony internetowe:

Komitet Kopca Kościuszki w Krakowie ustanowiony w 1820 r., „Biografia” [w:] <http://www.kopieckosciuszki.pl/pl/tadeusz-kosciuszko>

Potomski P., „Gen. Tadeusz Kościuszko. Rycerz wolności, równości i braterstwa”; [w:] <http://www.dziennik.com/publicystyka/arttykul/gen.-tadeusz-kosciuszko.-rycerz-wolnosci-rownosci-i-braterstwa>

Romanowicz T., „Oświeceniowy myśliciel i humanista” [w:] <http://humanizm.net.pl/tadeuszk.html>

Skrzypek M., „Kościuszko o religii” [w:] <http://www.tygodnikprzeglad.pl/kosciuszko-o-religii/>

„Tadeusz Kościuszko (1746-1817)”, [w:] <http://dzieje.pl/postacie/tadeusz-kosciuszko-1746-1817>

Zuziak J., „Bitwa Pod Raclawicami, 4 kwietnia 1794”, [w:] <http://www.ipsb.nina.gov.pl/index.php/a/bitwa-pod-raclawicami-4-kwietnia-1794-r>

Audycje radiowe:

„Tadeusz Kościuszko - nieskazitelny symbol polskości?” [w:] <http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/1038164,Tadeusz-Kosciuszko-%E2%80%93-nieskazitelny-symbol-polskosci>

Programy edukacyjne:

„Ciacho i bestia. Tadeusz Kościuszko”, „Historia bez cenzury”, [w] <https://www.youtube.com/watch?v=KpuKIUVmUiY>

Wywiad z rosyjskim nacjonalistą, tradycjonalistą Alexeyem Levkinem – rozmawiał Witold Dobrowolski

Wywiad z rosyjskim nacjonalistą, tradycjonalistą Alexeyem Levkinem, założycielem słynnego Wotan Jugend, jednym z liderów Rosyjskiego Centrum skupiającego rosyjskich nacjonalistów na uchodźstwie, oraz wokalistą zespołu M8L8TH. Ze względu na represje ze strony rosyjskiego aparatu bezpieczeństwa Alexey przebywa aktualnie na Ukrainie.

Czy mógłbyś opowiedzieć co sprawiło, że zostałeś nacjonalistą?

Pytanie oczywiście skomplikowane. Chociaż raczej nie tak skomplikowane, jak długa będzie moja odpowiedź. Rosyjskim nacjonalistą stałem się około 15 lat temu. Można byłoby zrobić osobny wywiad o moim życiu. Stosowne jest, aby powiedzieć o tym, jak przyjechałem na Ukrainę. Byłem jednym z założycieli dużego projektu propagandowego (Wotan Jugend), który specjalizował się w obalaniu mitów współczesnej pseudo-Rosji. Pracowałem z młodzieżą. Kiedy doszło do konfliktu na Ukrainie i zostały utworzone tak zwane Republiki Ludowe na wschodniej Ukrainie, nasz projekt popierał obiektywną pozycję, mówiąc o faktach wokół konfliktu i jaka powinna być wobec niego postawa rosyjskich nacjonalistów. A nacjonalista to przede wszystkim osoba, która dba o dobro swoich ludzi. Byliśmy poddawani represjom ze strony Służby Bezpieczeństwa, która zabrała nasz projekt i używała go do prowokacji. Mieliśmy otwartą sprawę karną, a sami zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia terytorium naszego kraju. Powtórzę, że Federacja Rosyjska nie jest naszym domem, jest chimerą, która występuje na terenie wygubionej naszej historycznej ojczyzny – Rosji.

Czy możesz bliżej przybliżyć ideę Wotan Jugend, oraz genezę powstania Rosyjskiego Centrum?

Idea projektu pojawiła się u mnie w czasie odbywania kary. Spędziłem kilka lat w więzieniu, a następnie zostałem zwolniony przez sąd. Wtedy sformułowalem koncepcję działalności dla najbardziej namiętnej części młodzieży, by ukształtować (wykuć) z niej tak zwane *духовное офицерство* (duchową elitę oficerów) nacjonalistycznej subkultury młodzieżowej. Nie, nie powinno się też nie doceniać wartości subkultury bo to jest właśnie to co pozwala mieć wartości które łączą nowoczesnych nacjonalistów w całej Europie. Spotykałem się z wieloma nacjonalistami w Europie i rozumiałem, że mamy wspólne wartości i to, co nazywamy subkulturą jest dokładnie tym, co pozwoliło nam przede wszystkim się spotkać i dyskutować o rzeczach stojących wyżej niż moda lub zainteresowania. No, o projekcie powiedziałem, że został zniszczony przez Służbę Bezpieczeństwa w 2014 roku. Zostawiliśmy pseudo-Rosję i tu, na Ukrainie, między innymi z ludźmi którzy opuścili Rosję stworzyliśmy nową koncepcję. Ośrodek ten został nazwany rosyjskim ośrodkiem emigracji. Znaczący to, że jest jeszcze miejsce gdzie Rosjanie mogą się zjednoczyć aby kontynuować działania, tylko poza tzw. Rosją. Projekt Centrum Rosyjskiego ma oczywiście inny aspekt. Działalność Wotan Jugend to było filozoficzne, duchowe a nawet kulturowe oświecenie o wysokim poziomie radykalizmu. Ten radykalizm jest tym, co naprawdę wyróżnia konkretnych ludzi, ludzi o specjalnej konstrukcji, jak to powiedział baron Evola. A Centrum Rosyjskie jest już organizacją o celach politycznych jak wykrywanie neo-bolszewickiej propagandy Putina i edukacja naszych rodaków.

Czy Rosyjskie Centrum posiada sformowany program?

Tak, przeprowadziliśmy kongres w ubiegłym roku podczas którego był opracowany program organizacji. Program jest ogólny. Stwierdza, że zadaniem Centrum Rosyjskiego jest przyczynienie się do sytuacji uzasadnionej zmiany władzy w Rosji i doprowadzenie do udziału nacjonalistów w wyborach. Jesteśmy przekonani, że jeśli dopuści się do prowadzenia propagandy w sposób wolny, to nacjonaści będą mogli zebrać bardzo dużą liczbę głosów. Ważne jest, aby byli to nacjonaści o takim wymiarze, jacy jesteśmy my z bogactwem wiedzy i poziomu świata duchowego.

Jak wygląda sytuacja nacjonalistów w Federacji Rosyjskiej?

Sytuacja jest oczywiście bardzo zła. Zorganizowaliśmy na ten temat specjalnie na konferencję, która odbywa się dziś, na konferencji dostępne są broszury które demaskują mity jakoby Putin budował społeczeństwo narodowe, że walczy z islamistami, gejami i że prawie jest rosyjskim nacjonalistą. Takie poglądy na temat Putina są bardzo silne w Unii Europejskiej i to jest rzeczywiście zrozumiałe, ponieważ stan UE jest bardzo daleki od wyobrażeń normalnego (przeciętnego) Europejczyka. Nasze zadanie jednak to praca, żeby ludzie mogli poznać prawdę o współczesnej Rosji. Rosyjscy nacjonaści są w bardzo złej sytuacji. Wszystkie ważne osobistości zostały zniszczone, są w więzieniu, są zastraszane albo wzięte w obroty służb specjalnych, które wcześniej uczestniczyły w ujawnieniu morderstw, przestępstw, a teraz są one zaangażowane w sprawach karnych związanych z aktywnością w sieciach społecznych. Faktycznie można powiedzieć, że w tym momencie w Rosji nie mogą istnieć organizacje nacjonalistyczne.

W jaki sposób postrzegasz imperializm rosyjski? Czy widzisz jakąś alternatywę dla niego?

To pytanie jest bardzo skomplikowane, filozoficzne, na ten temat przygotowałem na dzisiejszy dzień referat. Kluczowym zagadnieniem jest dekomunizacja. Nowoczesny rosyjski imperializm pewnością nie jest starym imperializmem, który był odpowiedni dla naszej kultury w Europie i był jej naturalną ekspresją. Teraz to tylko przykrywka, aby być na fali sukcesu i oszczędzać energię bo jak tylko obecna elita straci moc, jej przedstawiciele mogą nawet stracić życie. Są w pełni świadomi tego co się dzieje... Nowoczesne ambicje na podbój terytoriów innych krajów europejskich uzasadnia fakt, że kraje te należały do strefy wpływów Związku Radzieckiego albo były jego częścią. I jeśli będzie możliwość informowania ludzi o tym, że reżim komunistyczny doprowadził była Rosję do stanu całkowitego rozkładu państwa z ludźmi, którzy stracili wszystkie punkty odniesienia, to tylko wtedy Rosjanie będą mogli stać się pełnoprawnym członkiem nowego świata europejskiego ale oczywiście swoją drogę muszą przebyć i inne narody w Europie, a żaden z nich nie jest teraz na fali sukcesu. Każdy ma inne problemy. W Rosji problemem jest tak zwany nowoczesny imperializm, który jest właśnie zjawiskiem planu neokomunistycznego i nie jest zjawiskiem nacjonalistycznym. Istnieje tutaj jest pseudoideologia, która łączy w sobie zupełnie szalone rzeczy, jak komunizm, powierzchowną ortodoksję, dość wulgarny kult zwycięstwa, który jest stosowany tuż przed dotarciem do punktu absurdu.

Jak widzisz przyszłość Rosji w świetle zagrożeń demoliberalnej epoki?

Głównym zagrożeniem dla Rosji jest nowoczesna władza, bo wszystko inne jest po prostu następstwem. Jaki rząd, takie problemy. Oczywiście islamizacja, całkowita degradacja, to proces, choć perwersyjny, ale ciągły można nawet powiedzieć, setki lat odbywający się w Europie. Potrzebujemy nowej wizji tego, jaką chcemy zobaczyć Europę, a zarazem i Rosję jako część europejskiego świata, europejskiego w dobrym znaczeniu, a nie w koncepcji UE, która jest kultem

marksizmu.

Jak odnosisz się do Rosji carskiej i bolszewickiej?

Bolszewicka Rosja nie jest Rosją, jest po prostu bandytą, który wszedł do waszego domu i zabił waszych rodziców i robi tam co chce. Historyczna Rosja to dziedzictwo, z którego powinniśmy być dumni, kiedy mówimy o tym, co nie jest przyjemne dla nas w historii, np. bratobójcze wojny między Europejczykami, niuansy w rozwoju społecznym i kulturalnym. Tutaj możemy porozmawiać o tym, że wszystkie kraje Europy XVIII-XIX wieku były podobne. Wszyscy mieli zarówno kulturę arystokratyczną, jak i kulturę oddolną. I teraz już zależy od jakiej strony socjalnej będziemy sami na to patrzeć. Z jednej strony można zauważyć w Rosji pałace Petersburga, osiągnięcia rusznikarzy, rzeźbiarzy, malarzy, a z drugiej - pijaństwo. Podobnie jak w Europie. Widać bardzo różne rzeczy: i pańszczyznę, i całą resztę. Co najważniejsze, popularnym motywem teraz w Rosji jest nienawiść do własnej przeszłości i własnych obywateli. Inaczej to nazywa się krajowy masochizm - zdrada własnej przeszłości, to jest nie do przyjęcia dla jakiegokolwiek narodu. Musimy zastanowić się o tym, jak uczynić świat lepszym miejscem, o tym, co zbudować w przyszłości, a nie pokutować za to co było w całej Europie. Jest to bliskie temu jak liberałowie pokutują za politykę kolonialną.

Co sądzisz o idei Międzymorza, o której traktuje dzisiejsza konferencja Azowa? Czy widzisz w tym sojuszu Rosję?

Jest to rzeczywiście bardzo skomplikowana kwestia. Idea Międzymorza stała się obecnie bardzo potrzebna, jak ja to widzę, z tego powodu, że Ruch Azowski musi zaprezentować swoją wizję Europy. A przystąpienie do UE jest zupełnie przeciwieństwem tego co chce Ruch Azowski i partia polityczna, która ma być utworzona i dlatego musimy mieć własny projekt, który będzie miał konkretną wartość dla nas, dla tradycjonalistów, dla osób z naszego poziomu rozwoju duchowego i kulturowego. Tu w sposób naturalny kreuje się nowa ścieżka... żeby to było uzasadnione ekonomicznie, kulturowo i współczesną sytuacją polityczną w związku z wojną na wschodzie.

Chodzi tu o to, że jeśli w Rosji zmieni się system władzy i do nowej władzy dojdą ludzie pokrewni nam, tacy jak my, to oczywiście po pewnym czasie nasz kraj się zmieni i przestanie być zagrożeniem dla idei, które są najlepsze z dotychczasowych pomysłów. Ale oczywiście na Ukrainie te idee do władzy nie doszły. Innymi słowy dziś żaden naród w Europie nie posiada stanu, w którym mógłby rozwijać się najbardziej efektywnie w internacjonalistycznym dyskursie. Dlatego każdy stoi w obliczu własnych problemów. Oczywiście, musimy być zwolennikami konfederacji wszystkich narodów europejskich, ponieważ narody europejskie we współczesnym świecie pozbawione są swojej tożsamości i są na krawędzi zniszczenia i zastąpienia etnicznego.

Jak odnosisz się do Ukrainy i konfliktu toczącego się w Donbasie?

Do Ukraińców odnoszę się pozytywnie, nie byłoby mnie tu inaczej. Pytanie polega na tym, że wiele osób ma czasem dziwne pretensje do tego, że Ukraińcy rzekomo nie istnieli i nie istnieją. W takiej sytuacji, zazwyczaj odpowiadam, że kiedyś nie istnieli ani Francuzi, ani Niemcy. Potem pojawili się i zaczęli rozwijać swoją kulturę, swój język, i teraz nikt nie kwestionuje faktu, że ich nie ma. Podobnie, możemy powiedzieć, że oczywiście są też Ukraińcy, ponieważ jest to dość zrozumiałym faktem i musimy przestać żyć w fikcyjnych światach i patrzeć na życie takie jakim jest. Wszystkie

kraje europejskie powinny budować relacje braterskie między nimi, oparte na wzajemnym szacunku i wspólnych tradycyjnych wartościach europejskich.

Wojnę w Donbasie widzę jako karę nałożoną na Ukrainę przez Putina za to, że Ukraińcy odważyli się zbuntować przeciwko rosyjskim poplecznikom. To po pierwsze. Po drugie to szczepionka dla społeczeństwa rosyjskiego, aby oczyścić wrażenie na poziomie emocjonalnym, że jeśli ludzie buntują się przeciwko jego rządowi, to zacznie się wojna domowa.

A co z środowiska w Rosji, które nazywają się nacjonalistami i jawnie wspierają idee Noworosji, republik ludowych i imperializm rosyjski na Ukrainie?

Chcę powiedzieć, że rosyjscy nacjonaści są różnego rodzaju, takich jak zupełnie marginalny prawosławny Gonfalon, którzy są zaangażowani po prostu w przeprowadzenie pewnych rytualnych chrześcijańskich procesji, palenie zdjęć z gejami, przebijanie ich szablami. To wszystko jest bardzo śmieszne i to prawda, że są organizacje takiego typu, ale są równocześnie i normalni działacze uliczni. Jest ich, oczywiście, trochę. Zasadniczo są to ludzie, z otoczenia środowiska i kopiują jego sposób życia: ubranie, zachowanie, uczestnictwo na koncertach - ale w całości, nacjonaści w Rosji wspierają stronę ukraińską. Jednak - co to znaczy? Wspieranie Ukrainy od 2014 roku oznacza wspieranie rewolucji w Rosji. Znaczenie tutaj zupełnie jasne, jako przykład do naśladowania dla innych. Oczywiście, że nie wspierają [rosyjscy nacjonaści – przyp. red.] liberałów i oligarchów, a wprost przeciwnie dają podporę ukraińskim działaczom, którzy się nie bali systemu, jak boi się jego naród Rosji i udali się do barykady. Innymi słowy, jest to przykład, o którym w Rosji, gdy już tylko się śniło i już nawet nie wierzyło się, że coś takiego w dzisiejszym świecie może się zdarzyć. Głównie wspierane są inicjatywy nacjonalistyczne. Na chwilę obecną Ruch Azowski to najbardziej zaawansowana nacjonalistyczna inicjatywa w Europie.

Czy chcesz coś przekazać polskim nacjonalistom?

Chcę zaapelować do polskich nacjonalistów, żeby nie wierzyli propagandzie Putina, żeby kochali swój kraj i rozumieli, że rozwój Europy polega na wzajemnym szacunku między narodami europejskimi, w uzyskaniu władzy przez nacjonalistów i głębiej, w odzyskaniu władzy przez ludzi, którzy są nacjonalistami zarówno jak i ci, którzy chcą przywrócić niegdyś istniejące społeczeństwo złotego wieku, który dla nas jest naszym najważniejszym zadaniem. Trzeba być tradycjonalistą, Europejczykiem, w szerokim znaczeniu tego słowa, i nacjonalistą. Trzeba kochać swoją ojczyznę.

Rozmawiał Witold Dobrowolski

3 lipca 2016, Kijów

„Słowo o najwyższej prawdzie”

Wszelka zbieżność przypadkowa. Utwór jest wyrazem literackiej ekspresji. Nie ma na celu nawoływania do łamania prawa.

Kochana siostrzyczko!

Co u Ciebie? Bo u mnie, jak pisałem, sprawa ma się ku końcowi. Dziś badał mnie lekarz sądowy. Musiałem kawał czasu odstać, nim mnie przywołali. Pytano mnie, oczywiście, o moją zbrodnię. Czy pamiętam? Jak to zrobiłem? Czy byłem pod wpływem narkotyków? Czy żałuję? Czy zrobię coś podobnego w przyszłości? Na pierwsze pytanie odpowiedziałem (zgodnie z prawdą), że pamiętam. Pod wpływem środków odurzających mogłem być, ale najbardziej odurzyło mnie złamane serce. Czy żałuję? Ciężko być dumnym lub żałować czegoś, co prędzej czy później musiało nastąpić. „Ale żałuję teraz, że naraziłem niewinne istoty ludzkie na niebezpieczeństwo. Łamanie prawa jest złe i niedobre”. Co jeszcze chciały wiedzieć doktorki? „Czy ma pan dalej radykalne poglądy i niebezpieczne zainteresowania?” Niech spier***ą. Nawet własna matka szuka u mnie myślozbrodni.

Wiem, że Ty także nie podzielasz moich poglądów. Chyba. Bo dawno nie jestem typowym kato-nacjo-prawiczkiem. Pamiętasz, co mi pisałaś o anarchii? Doskonale to rozumiem. Żadne współczesne państwo nie podoła problemom, z jakimi się mierzą zbiorowości i jednostki. Trzeba zniszczyć wszystko, co nazywają „porządkiem”. Bowiem pradawny, kosmiczny Porządek został dawno obalony. Panuje jedynie mieszczański ordnung, konserwujący najgorsze. Potrzeba anarchii, a nawet więcej - KONCA ŚWIATA. Dopiero potem można budować cokolwiek.

Pojęli to Japończycy z Najwyższej Prawdy. Ich mistrz wytrwale zgłębiał nauki chrześcijańskie, hinduistyczne, buddyjskie. Przyciągał do siebie młodych, wykształconych obywateli: studentów, prawników, chemików, lekarzy, biologów, fizyków, informatyków. Na spotkaniach grupy, gdzie wszyscy odziani byli w jednakowe, białe kimono, guru tłumaczył:

- Społeczeństwo, w którym życie nie przywiązuje żadnej wagi do duchowości. Liczy się praca, liczy się konsumpcja, dla samej wyłącznie konsumpcji. Szkoły produkują tępych niewolników, o kupieckiej mentalności. Aby "osiągnąć sukces", trzeba włożyć wiele wysiłku: skończyć szkołę, iść na studia, sprzedać się pracodawcy, wygrać konkurencję. A co dostaje się w zamian? Mieszkanie w zatłoczonym mieście. Nowy sprzęt wideo. Czy te rzeczy sprawią, że będziesz szczęśliwy?

Innym razem padały słowa:

- Mędrcy ze Wschodu i Zachodu od wieków zapowiadali Koniec Świata. Przyjdzie on, gdy zgaśnie wszelkie światło, a ludzie pogrążą się w beznadziejnej rozpuście. Wówczas nastanie kataklizm, który zniszczy wszelką cywilizację. Ten czas nadchodzi...

Któregoś razu mistrz przywołał do siebie młodego naukowca, jednego ze swoich uczniów. Zapytał o jego wiedzę i rozwój duchowy. Doczekawszy się odpowiedzi, rzekł:

- Chcemy powierzyć Ci ważne zadanie. Wyjedziesz za granicę, gdzie będziesz wytwarzał substancję, na których się znasz. Dostaniesz wszystko, co będzie potrzebne.

Zgodzić się? Co za pytanie! Kilka dni później, nad ranem, znajdował się na lotnisku w Tokio. Miał ze sobą tylko jedną, lekką walizkę. Samolot w parę godzin przetransportował uczonego do Władywostoku. Tam czekali nań inni wyznawcy - zarówno z Rosji, jak i z Japonii. Zapewnili go o braku zastrzeżeń ze strony władz. Zjadłszy obiad, pojechali do laboratorium pod miastem.

Była to filia miejscowej uczelni. Pośród tajgi wznosiły się niskie bloki. Mieściły się tam pracownie. Wyposażono je w sprzęt laboratoryjny wszelkich rozmiarów. Szafy zamykane na kod kryły odczynniki oraz stroje ochronne. Baraki z drewna służyły za sypialnie, zaś ceglasty budynek w środku krył bibliotekę, stołówkę oraz gabinet administracji (chwilowo nieczynny). Na tyłach kompleksu jezioro zapewniało kąpiel.

Naukowiec kilka miesięcy pracował dla sekty. Parę razy w tygodniu odbywały się wykłady. "Musimy przyłożyć rękę do zniszczenia świata, w którym rządzi Szatan z Ameryki." Na co dzień godziny upływały w laboratorium. Zaczęto od produkcji w małych probówkach, aby po tygodniu przejść na dziesięciolitrowe kolby. Metanol, fosfor i fluor reagowały, tworząc difluorek metylofosforowy. Po dodaniu alkoholu izopropylowego powstawała bezbarwna ciecz. Parę litrów wystarczyło do unicestwienia całej ludzkości. Ekstrakt śmierci, łatwo uchodzący w powietrze, czyniący je sobie podobnym. Pięć liter: S A R I N. Do tej pory żadna "grupa terrorystyczna" nie mogła liczyć na broń chemiczną. Teraz miało się to zmienić.

Kolby z sarinem załadowano na kuter rybacki. Pod sterą ryb przepłynęły od rosyjskiego wybrzeża do wysp Japonii. Ciężarówka zawiozła je do ośrodka Najwyższej Prawdy. Po paru miesiącach ludzie w strojach ochronnych napełnili cieczą ampułki, które włożyli do... śniadaniówek. Śniadaniówki trafiły do Tokio. Tam wyznawcy, młodzi mężczyźni, wyposażeni w strzykawki z antidotum, wzięli towar w swoje ręce. Jak gdyby nigdy nic, wsiedli rano do metra. W wagonach zostawili pudełka, uprzednio przebiwszy je parasolkami.

- Co to za zapach?

- Jakby spalone opony...

- Ojej!

Ludzie padali na ziemię, taplając się we własnych wymiotach. Modnie ubrane kobiety, mężczyzn pracujących w korpo powaliła niewidzialna siła. Płyny ustrojowe wypływały na zewnątrz, jak gdyby wszystkie brudy społeczeństwa wypełzały. Nikt nie wiedział, co się dzieje.

W ataku na tokijskie metro zginęło dwanaście osób, a ponad trzy tysiące zostało rannych. Po raz pierwszy w historii "terrorystów" użyli broni chemicznej. Po raz drugi w dziejach wykorzystano sarin w celach bojowych. Choć sprawcy zostali ujęci i skazani, widmo zagłady ciąży nad konsumpcyjnym, kapitalistycznym światem.

Taki będzie początek światowej anarchii. Broń masowej zagłady zniszczy zepsutą cywilizację. Dla lubiących ciepłą wodę w kranie oraz ciepłe kaptcie na nogach, nastanie Armagedon. Co będzie potem? Oddajmy głos uczonym w sprawach religii i polityki. Obecnie muszą zadziałać kapłani zniszczenia. Z pewnością porozmawiamy jeszcze o tym i o innych sprawach. Na żywo.

Pozdrawiam

Thor, bóg piorunów

autor: Leon Drzewczyk